

# BIŁUSZCZ



WARSZAWA, 5 CZERWCA 1926 ROKU



**BARDZO WAŻNE!****BARDZO WAŻNE!**CELEM UNIKNIĘCIA PRZERWY W OTRZYMYWANIU „BLUSZCZU”  
NALEŻY JAKNAJRYCHLEJ

wpłacić prenumeratę za miesiąc czerwiec b. r.

CZEKI P. K. O. DOŁĄCZYLIŚMY DO NUMERU 21.

Ze względu na to, że wysłane przez nas numery „BLUSZCZU” często giną na poczcie, prosimy, w razie nieotrzymania numeru do soboty zawiadamić nas o tem najpóźniej w poniedziałek następnego tygodnia. Reklamacyj niewniesionych w czasie właściwym uwzględnić nie będziemy.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

**Baczność Matki!****Baczność Matki!**KAŻDEGO 8-go i 22-go W MIESIĄCU  
WYCHODZI  
DWUTYGODNIK**„DZIECKO I MATKA”**

Dwutygodnik ten, którego współpracownikami są wybitni lekarze, pedagodzy oraz specjaliści w wychowaniu dziecka w okresie przedszkola, jest poświęcony sprawom wychowania i zdrowia dziecka do lat 7-miu (prospekt dołączyliśmy do numeru 18-go „Bluszczu”), KAŻDY NUMER W BARWNEJ OKŁADCE, bogato ilustrowany, z dodatkami t. j. tablicą krojów ubrań dziecięcych, względnie krojami bibułkowemi KOSZTUJE POJEDYŃCZO 60 gr., W PRENUMERACIE MIESIĘCZNEJ Z PRZESYŁKĄ—TYLKO 50 gr.; KWARTALNEJ—45 groszy.

Nie należy zwlekać i natychmiast dwutyg. zaprenumerować, gdyż numer pierwszy jest na wyczerpaniu. Najlepiej przesłać prenumeratę kwartalną w kwocie 2 zł. 70 gr. lub ostatecznie miesięczną w kwocie 1 zł. czekiem P. K. O. Nr. 12.900. Numery okazowe wysyłać będziemy po nadesłaniu znaczków pocztowych za 50 gr. do

Czek P. K. O. dołączyliśmy  
do Nr. 18 „Bluszczu”ADMINISTRACJI „DZIECKO I MATKA”  
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99.

Wydany przez nas bardzo starannie

**ZBIÓR MONOGRAMÓW**

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenie) skorzysta potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł.; cena naszego „ZBIORU” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”  
Warszawa, Krak. Przedm. 99.  
Konta P. K. O. 3.700.**PANIE I PANÓW**PRZYJMUJEMY NA ZBIOROWE LEKCJE  
WYROBU DYWANÓW SMYRNEŃSKICH

Gotowe wyroby kupujemy i sprzedajemy ich ułatwiamy. Każda z Pań wykonywać może roboty w domu. Przyjmujemy dywany do strzyżenia i kunsztownego cerowania, oraz zamówienia na stylowe dywany nowe.

Towarzystwo Wrobu Dywanów Smyrnieńskich w Polsce

„K. LITWINOWICZ I S-KA”

Biuro Zarządu: Warszawa, Marszałkowska 94, m. 8.





ROK LIX

№ 23

# PISMO MŁODYCH GODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 5 CZERWCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Sądy dla nieletnich — *H. C. Nejparadoksalniejsza pisarka XIX wieku* — *C. Walewska*. Wrażenia z wycieczki do Rzymu na kongres, którego nie było — *Helena Boguszewska*. Okruchy astronomiczne — *Zofja Reutt-Witkowska*. Wiersze: „Przepisy wiosenne” — *Felicja Kruszevska*. Grande-Grille (szkic powieściowy) — *Wanda Miłaszewska*. Listy te, inne i najinniejsze — *Marja Jehanne-Wielopolska*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka*. Giuseppe Verdi — *J. R. Zak* — *N. Samotyhowa*. Wspomnienie poświęcone ś.p. *Marji Maszkowskiej* — *Zofja Poniatowska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Modne poduszki. Kapelusze — *Well*. Fetysz paryski — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Polska współczesna. Uprawa pomidorów — *Z...ska*. Książka kucharska amerykańska — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Drugi konkurs „Bluszczu”. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego *T. Jakubowicza*). ARKUSZ WZORÓW.

*Tragiczne wypadki majowe zamknął, dokonany przez Zgromadzenie Narodowe, wybór Prezydenta Rzeczypospolitej — Ignacego Mościckiego.*

*Stanęliśmy na progu nowej karty naszych dziejów. Niech będzie inna niż ta, którą przeżywaliśmy tak niedawno.*

*Podnieśmy wysoko sztandar odrodzenia wewnętrznego, a nadewszystko wprowadźmy w czyn przykazanie Chrystusowe — abyśmy się wspólnie miłowali.*

*Z dymu walk, w których brat mierzył w pierś brata, niech nie wynurza się ku nam upiorna twarz nienawiści.*

*Ponad hałas potępieńczych swarów i klątw — wznieść się musi głos wiary w szlachetne jutro i w nieśmiertelną potęgę zdrowej duszy narodu.*

## SĄDY DLA NIELETNICH

Rzecz nowa, jedna z tych, które zawdzięczamy niepodległemu Państwu, a którymi interesujemy się za mało.

Sądy dla nieletnich nie są naszym wynalazkiem. Idea ich powstała w Europie zachodniej, w ostatnich dziesiątkach ubiegłego wieku.

Międzynarodowy Związek kryminologów na zjeździe w Brukseli 1889 r. sprawę tę rozważał po raz pierwszy. Zajmowały się nią później różne inne zjazdy prawnicze w Bernie, w Paryżu, oraz zjazdy towarzyszy, opiekujących się dziećmi i ustalały metody

postępowania, rzucały podstawy racjonalnej walki z przestępczością nieletnich. Uchwał ich zasadniczą treścią było, że dzieci występnych nie można karać, że trzeba je wychowywać, trzeba przestępstwom ich zapobiegać przez stwarzanie im takich warunków bytu, któreby je od przestępstwa zabezpieczały.

Pierwszy Sąd dla nieletnich powstał jednak nie w Europie, a w kraju wszelakich nowości, w Ameryce, w mieście Chicago r. 1899.

Z krajów europejskich pierwsza przykład ten naśladowała Anglja. W Birmingham r. 1905 zaczął



funkcjonować pierwszy angielski Sąd dla nieletnich potem w Manchester, a następnie w całym szeregu miast Anglii, Szkocji i Irlandji.

W r. 1908 wydano w Anglii t. zw. „Children act“ zbiór przepisów, dotyczących wychowania, opieki nad dziećmi, ochrony nieletnich od złego, oraz Sądów dla nieletnich. Jest to angielska Magna Charta dzieci.

W r. 1906 powstał we Francji pierwszy Sąd dla nieletnich. Od 1912 zaś obowiązuje tam specjalna ustawa o sądach dla nieletnich i dozorcze opiekuńczym.

Najpełniejszy całokształt przepisów i ustaw rządowych, skoordynowanych z akcją społeczną, spotykamy na Węgrzech. Tam każde dziecko, potrzebujące pomocy i opieki, może być przyjęte do przytułku, zaś dzieci występne, lub narażone na zepsucie muszą być z urzędu umieszczane w przytułkach państwowych.

W r. 1908 powstał pierwszy niemiecki sąd dla nieletnich we Frankfurcie nad Menem i tegoż roku w Petersburgu. W następnych latach innym miastom rosyjskim przyznano to dobrodziejstwo. Nie rozciągnięto go jednak na Warszawę, gdzie raczej tendencją było polityki carskiej obniżyć kulturę, spychać w dół demoralizować.

To też znany wiersz Konopnickiej był raczej wizją dalekiej, upragnionej przyszłości, niż obrazkiem z życia. Życie ówczesne obrazków takich nie dostarczało. Dopiero po odzyskaniu niepodległości i to w pierwszych zaraz miesiącach, dn. 7 lutego 1919 r. dekretem Naczelnika Państwa wprowadzony został w Polsce Sąd dla nieletnich. Sądy takie powstały w Warszawie, Łodzi i Lublinie. Są to Sądy Pokoju, to znaczy, że podlegają im tylko sprawy, mniej ważne, te, które zwykły Sąd Pokoju rozstrzygać ma prawo. Wrazach ważniejszych, gdy nieletni dokonają np. zabójstwa, Sąd dla nieletnich nie ma nic do powiedzenia. Sprawa idzie do Sądu Okręgowego. Koła interesujące się tą rzeczą zajęte są jednak opracowywaniem projektu ustawy, któraby wszystkie bez wyjątku sprawy nieletnich poddała kompetencji właściwego sądu.

W miejscowościach, gdzie niema dotąd sądów dla nieletnich, sędziego pokoju obowiązuje, w stosunku do nieletniego przestępcy, to samo rozporządzenie, które Minister Supiński wydał był w czerwcu 1919 r. w przedmiocie Sądu dla nieletnich.

Organizacja Sądu dla nieletnich, będącego raczej instytucją wychowawczą, niż sądową, posiadać musi pewne rozgałęzienia. Rozgałęzieniami temi są: Koło opiekunów sądowych, t. zw. Izby zatrzymania i domy poprawy.

Są one wszystkie niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania instytucji.

W Warszawie zorganizowano Koło opiekunów sądowych, a specjalna instrukcja wskazuje im ich zadania.

Opiekun sądowy jest pomocnikiem sędziego, odwiedza powierzonego mu małoletniego przestępcę, któremu kara została zawieszona (Rozporządzenie Ministra zaleca jak najszersze stosowanie prawa zawieszenia kary), stara się wyrzec nań wpływ dodatni, znaleźć mu pracę, umieścić w szkole itd. itd.

Niema natomiast w Warszawie Izb zatrzymania, które zastępują nieletniemu przestępcy areszt, nie dopuszczając go do zetknięcia się z dorosłymi więźniami, a gdzie nauka, praca ręczna i zabawa pod dozorem sił wychowawczych mogą wpłynąć dodatnio na jego psychikę. Niema, ale krótkce będą, dzięki gorliwym usiłowaniom ludzi dobrej woli.

Niedostateczną również jest ilość zakładów poprawczo - wychowawczych. Pod Warszawą istnieje wspomniany już poprzednio Studzieniec; zorganizowany na nowych podstawach mieści około 300 chłopców. Nadto mamy w Państwie jeszcze kilka zakładów tego typu; w Głazie (pow. Wieluński), w Wielucianach pod Wilnem, w Przędzielnicy pod Przemyślem, w Cerekwicy (Wielkopolska), w Chojnicach i Cieszynie. Są to wszystko zakłady dla chłopców. Dla dziewcząt niema ani jednego. Był wprawdzie w Puszczy Marjańskiej, obok Studzieńca, ale w roku 1922 zamknięto go, jakoby z powodu małej ilości skazywanych dziewcząt. Obecnie zamierzono otworzyć w Puszczy oddział dla chłopców najmłodszych, dziewczęta zaś umieszcza się w więzieniu kobiecym przy ul. Dzielnej. Przed kilkoma miesiącami zorganizowano tam dla nich osobny oddział, izolując je od wpływu starszych towarzyszek i oddając pod opiekę specjalnej wychowawczynie. Lokal mają urządzone nie tylko porządnie, ale nawet estetycznie, wikt lazaretowy, systematyczne wykłady, roboty ręczne, spacer po ogródku więziennym. Tylko, oczywiście, nie mają tam ruchu, słońca, powietrza, ćwiczeń fizycznych; no i pozostaje im na całe życie marka pobytu w więzieniu.

Na zakończenie trochę statystyki.

Do zakładów wychowawczo - poprawczych wysłał sąd dla nieletnich:

Rok.	Chłopcy.	Dziewczęta.
1919	9	4
1920	87	13
1921	80	12
1922	135	15
1923	95	11
1924	57	8

Uderza od roku 1922 zmniejszanie się przestępczości wśród dzieci warszawskich. Niewątpliwie działa tu już wzrost szkolnictwa powszechnego, praca przedszkoleń itd. Pocieszającą też jest informacja, udzielona mi przez sędziego, że ciężki okres bezrobocia nie wpłynął na wzrost przestępczości u dzieci, jakby się tego należało obawiać. Cyfra nieletnich przestępców stanęła w miejscu. Nie zmniejszyła się wprawdzie w roku bieżącym, ale i nie powiększyła.



Zastanawia także mały procent dziewcząt wśród dzieci występnych.

Wreszcie zanotować tu należy powstanie w r. bieżącym Ligi Opieki nad dziećmi opuszczonymi i zaniechanymi (Jasna 11 m. 4), która współdziałając z Sądem dla nieletnich wypełni te zadania, jakich Sąd wziąć na siebie nie może.

Otoczyć dziecko ulicy, najczęściej sierotę, czasem całkiem bezdomne serdeczną opieką, uchronić je przed złem, błędzące nawrócić na dobrą drogę—to czyn i ze społecznego i wprost z ludzkiego stanowiska ważny, humanitarny, to akt sprawiedliwości względem istoty ludzkiej pokrzywdzonej, upośledzonej, naznaczonej od kolebki piętnem nieszczęścia i poniże-

nia. Tyle jest osób, nie mających dzieci własnych.

Te przede wszystkim powinnyby brać na siebie obowiązki opiekunów sądowych, zapisywać się do Ligi Opieki nad opuszczonymi i zaniechanymi dziećmi, wyławiać z odmętów wielkomiejskiego morza nieprawości duszyczki nieraz bardzo cenne, niekiedy wprost bohatersko broniące się przed pokusą występku, mimo nędzy i opuszczenia, umysły prawie zawsze bardzo bystre, o wrodzonej inteligencji, o dużym wyrobieniu życiowym. Temi zdolnościami pokierować, z małych włóczęgów wychować Polsece ludzi, czyż to nie cel, mogący wypełnić pustkę życia?

Dodaję, że Sąd dla nieletnich mieści się przy ul. Elektoralnej 28. H. C.

## NAJPARADOKSALNIEJSZA PISARKA XIX WIEKU



Przed kilkoma tygodniami zmarła Ellen Key, publicystka szwedzka, która przed laty 40-u zdobyła rozgłos niebywały. Nazwisko jej rzucało się w oczy co krok. Na wystawach księgarskich, w prasie świata całego. Filistrzyburzuje i najwzraskliwsi sztandarowi rozkochrańcy wołali wielkim głosem:

„umysł potężny! wieszczka nowych dni!”

Co tak zachwycało jednych i drugich? W burzujów była teza: „Kobieta stworzona jest tylko do macierzyństwa. Każdy wiew myśli nowych, każde nowe światelko winna składać dziecku w ofierze. Matka ma stać się okiem wpatrzonym w nie, uchem wsłuchanem, myślą, zakutą w zwarte koło jego potrzeb. Ono i nic po za niem. Świat jej, to jarzmo drobnej rączki, pod które niech kładzie głowę z radością i upojeniem. To niewola szczebiotu i naiwnych pytań bez końca, na które nie wolno nie dać odpowiedzi. „Jeżeli żąda dla kobiety pewnych przywilejów męskich, jak prawa głosowania, rozporządzania własnym majątkiem i t. p. to tylko, aby mogła stanąć na jednym poziomie społecznym z synem swoim.

Jakżeż solidnemu ojcu rodziny, wpadającemu na godzinkę do domu z biura, klubu, ważnego posiedzenia, nie rozkoszować się widokiem gynecceum, w którym nawet jedno małe okienko nie wychodzi na wrzące życie świata.

Rozkochrańc fin-de-sièc-lista miał dla siebie inny dogmat, nagle śmignięciem biczyska przesywający „steżaly” zabobon t. zw. moralności społecznej. „W imię macierzyństwa, warto rozbijać tamy przesądów, łamać okowy, staczać łój!..” Ellen Key żąda prawa wolnej miłości i wyzwolenia z pęt religijnych przeżytków. Pędzi naoslep ze sztandarem buntu, ciska

groty piorunowe w obmierzłe mokradła etyki obyczajowej, potępiającej nielegalne związki. Do walki na śmierć i życie o swobodę sumienia, o zniesienie pręgierza opinii wzywa surmą bojową ta amazonka nowych dni. Jakżeż nie iść za nią? Jakżeż nie złożyć w jej ręce hetmaństwa?

Cwałowała nieustraszona Brunhilda na swoim apokaliptycznym rumaku przez ćwierć wieku zgórą. Sława jej, popularność i rozgłos mogły dorównać tylko sławie Tolstojów, Dostojewskich, Sienkiewicza, Multatuli, tłumaczonych na wszystkie języki. Kopytami oszalałej bestji waliła w bagna przesądów. Wtem nagle stopp!... Wolna miłość? Dobrze. Ale wszystko jedno, ślubna, czy nieślubna matka musi zamknąć się w gynecceum, dopóki nie odchowa dziecka. Wszystko inne, osobista niezależność, dążenie do wyzwolenia się z niewoli ciała, ducha i chleba, do zapewnienia sobie pracy na wszystkich bez wyjątku polach, do równouprawnienia w najszerszym zakresie, jakie usiłował wywalczyć kobiecie bujny ruch feministyczny ostatniej doby, uważała Ellen Key za „trwonienie sił” i zwalczała je otwar-

cie. „W wyzwolonej przez wolną miłość kobiecie znajdziemy nieprzeczuwane skarby. Zarzący płomień namiętności, który spopieli wszystkie konwencjonalne formy, wielkie olśniewające wniebowzięcie, w którym dusza ludzka wznie się w nadziemską wyżynę, jak najwyższy ton skrzypiec, aż do szczytu zagadnień życiowych. Ale na to trzeba demonicznej potęgi, jednoznacznej z potęgą twórczą, pobożnego zaparcia się siebie, świętej prostoty z konwaljową wonią wiosennego poranka na wsi i dźwiękiem dzwonów wieczornych w milie wielkiego świata. Trzeba wielkiej wiary i wielkiej niewiary, wielkiej miłości i wielkiej niena- wiści.”





Takimi raketami frazesów odurzała Ellen Key bezkrytyczne rzesze w dobie splątanych sztandarów i haseł Ruskina, Tołstoja, Nietzschego. Coś wzięła od każdego z nich. Ruskina przetrawestowała na swój sposób. Bo gdy myśliciel angielski, żądając pełnego wyzwolenia kobiety, składał je u stóp męża jej — kochanka, któremu miała być najpiękniejszą lilją z królewskiego ogrodu, prorokini szwedzka wyzwalała kobietę dla jej macierzyństwa, żeby mogła być równą synowi w gromadzie społecznej. Od Tołstoja wzięła anarchistyczną gmatwaninę programów. Nietzsche, którego uwielbiała, dał jej wyzywającą śmiałość żądania nadczłowieczeństwa woli dwóch istot, które, zlewając się z sobą, mają stworzyć trzecią, dziecko, „jedyne cel miłości, żywy pomnik zwyczajności i wyzwolenia człowieka przez rodzicielstwo.“

Uważano Ellen Key za emancypantkę, co w zeszłym stuleciu oznaczało kobietę, dążącą do zrównania się z mężczyzną we wszystkich dziedzinach pracy i wszystkich stosunkach prawnopolityczno-obyczajowych, nawet w zaciąganiu się dymem papierosów, cygar i fajki. Już to samo dowodzi, jak trudno było połapać się w lesie paradoksów szwedzkiej publicystki. Ona i ruch feministyczny... Ona i dążenie do zarobkowej pracy kobiet...

W wieku maszyn i hałaśliwej pogoni za groszem, w wieku deptaków roboczych i karków zgiętych, w jarzmach wyrobniczych nawraca Ellen Key do czasów Likurga i woła. „Trzeba nam na podstawie nauk przyrodniczych odzyskać całe starożytne umiłowanie siły i piękności ciała ludzkiego. Dziecko ma prawo wybierać sobie rodziców. Ma prawo żądać, by nie zawierali związków mężczyzna i kobieta, nie posiadający warunków dla rozwoju normalnego potomstwa.“



A czy może mieć piękne, zdrowe ciało zapędzona w piekło fabryki wyrobnicza? Czy może zrodzić tegie dziecko matka, przywalona pracą od świtu do nocy? Porwał się namiętny krzyk szwedki przeciw zatrudnianiu kobiet po fabrykach i bił w sumienia społeczne równocześnie z dogmatem feministycznym, nakazującym udzielanie pracy wszystkim, którzy jej potrzebują bez różnicy płci i bez różnicy wynagrodzenia przy jednakowym uzdolnieniu.

Zycie rozcięło węzeł gordyjski zagadnień. Gnie się wyrobnicza nad taczka i przy warsztacie wdycha pył szkodliwy. Mrze z wyczerpania pod ciężarem cegły, którą dźwiga na szczyty rusztowań. Nie przebił niebios krzyk Ellen Key, ale i feminizmowi nie stało się zadosyć. Kobieta pracuje, bo nie wyżywi rodziny z zarobku męża jedynie. Pracuje. Ale jakżeż jej daleko do zrównania płacy z płacą męskich kolegów!.. I jak podaż jej rąk obniżyła cenę pracy mężczyzn! Grzmią hasła feminizmu, sypią się memorjały, odezwy, a wyrobnicza nie przestaje być solą w oku wyrobnicza, skazanego na takie krzywdzące współzawodnictwo.

Ellen Key żąda od społeczeństwa, żeby zabezpieczyło byt każdej matce ślubnej, czy nieślubnej. Żeby uwolniło ją od pracy zarobkowej i pozwoliło jej oddać się wychowaniu dzieci jedynie.

Ja! mużna w imię wyzwolenia macierzyństwa, bo dokoła niego tylko i wyłącznie skupić się muszą wszystkie prawa i obyczaje, wszystkie instytucje i urządzenia społeczne. Z tego stanowiska, pod tym kątem jedynym, niezmiennym, wyłącznym rozstrzygać się będą wszelkie zawiłe kwestje i zapadać najdonioślejsze uchwały.

Tak prorokowała i tego żądała Ellen Key. C. Walewska.

## WRAŻENIA Z WYPRAWY DO RZYMU NA KONGRES, KTÓREGO NIE BYŁO\*)

### OGÓLNE WRAŻENIE.

Przed wielu laty, jeszcze przed wojną, byłam przez tydzień w Rzymie. Zwiedzałam.

Zwiedzałam w pocie czoła, od rana do nocy, bez przerwy prawie, aż do spuchnięcia podeszew u nóg, aż do zupełnego zamętu w głowie. W ciągłym zachwycie, w ciągłym zdumieniu, w ciągłej namiętnej chęci wchłonięcia wszystkich cudów, widzenia, zapamiętania, zapamiętania! I po upływie tygodnia wyjeżdżałam z mózgiem, jak roztwór przesycony, nie zdolnym już do przyjmowania żadnych wrażeń. Praktycznie wyglądało to tak:

Raczej umrzeć, niż zobaczyć jeszcze jedno muzeum! Nie mówcie mi o żadnych kolumnach z „doskonale zachowanymi kapitelami“! Żadnych term, żadnych łuków, żadnych frontonów dawnych świątyń, żadnych renesansowych kościołów. Już zupełnie nie mogę...

I wyjeżdżałam, śmiertelnie zmęczona, z tem poczuciem, że nie widziałam ani dziesiątej części

tego, co „trzeba widzieć“ i gorsza, ani setnej części tego, co można widzieć.

I teraz, po latach, znowu to samo. Siedzę przez całe dziesięć dni, zwiedzam, latam, oglądam, uczę się i wyjeżdżam z tem, że nic jeszcze nie zobaczyłam.

To już tak zawsze będzie z tym Rzymem. Przecież powiedział ktoś, że, aby poznać Rzym, trzeba całe życie temu poświęcić, a potem umrzeć, na nowo się urodzić, i znowu...

Inaczej nic z tego nie będzie.

Szerokie, zwyczajne ulice z kamienicami, z wystawami sklepów, z tramwajami. A zaraz obok staroświeckie uliczki, bez chodników, tak wąskie, że na sznurku przewieszonym z okna do okna suszy się bielizna. Obok najzwyczajniejszej kamienicy fronton

\*) IV Kongres międzynarodowy Wychowania Moralnego, naznaczony na 16 kwietnia 1926 r., został odwołany po zamachu p. Gibson na Mussoliniego.



starej rzymskiej świątyni, strzaskana, stara, rowkowa — na kolumna, stare zwaliska, do których przypiera jednym bokiem mieszkalny dom, o niezliczonych gankach, krużgankach, krętych schodkach i balkonikach z tą nieodzowną, suszącą się bielizną! Zwyczajne, nowoczesne wystawy sklepowe, i jakaś nowa we wgłębieniu odwiecznych ruin winiarnia, czy sklepik z „antichità”.

Pędzą auta, ryczą, trąbią — i wymijają zabawne staroświeckie wózki winiarzy, wózki dwukolne z kolorową budką; jak parasol bokiem położony, ciągnięte przez małe konie, obwieszane brząkadłami, przystrojone w czerwone pompony i chwasty! To znowu osiołki nieproporcjonalnie małe do wielkości i ciężaru ciągniętych wozów, dzwonią mnóstwem małych dzwoneczków. I to tak wszystko razem.

Tłumy wysmukłych kobiet w sukniach krótkich po kolana, z krótkimi włosami. I wśród nich wieśniaczki biodrzaste, w fałdzistych, długich, czarnych spódnicach, z białą, złożoną we czworo chusteczką, leżącą na wierzchu głowy, owiązanej czarnym szalem.

I z całym Rzymem jest tak samo właśnie, jak z autem obok dwukolnego wózka winiarza: pomieszanie kultur, pomieszanie epok; dzień dzisiejszy wrósł w najdostojniejszą starożytność i tak się jakoś pomieszał z nią, pokumał, że z tego wszystkiego zrobił się chaos malowniczy, dziwaczny, i męczący, męczący...

### FASZYŚCI.

Szef rządu<sup>1)</sup>, premier i minister spraw zagranicznych Benito Mussolini rządzi wszystkim i panuje wszechwładnie.

Imię jego słyszy się wszędzie i widzi wszędzie, na olbrzymich plakatach, głoszących uroczystości, przyjazdy, zarządzenia i t. d.

Il duce, il duce — na wszystkich ustach.

I czarne koszule wszędzie są, we wszystko wnikają, wszystkim się zajmują: są przy rewizji celnej, przy oglądaniu pasportów, ściągają podróżnych śpiących w polskim wagonie Warszawa—Rzym z górnych łóżek<sup>2)</sup>, twierdząc, że na terenie Włoch spać tam nie wolno. Dlaczego? Przecież te łóżka są na ten cel przeznaczone, śpimy na nich już drugą noc...

Nic z tego. Niewolno i koniec. Niema dyskusji. Wogóle w tem faszystowskim państwie niema dyskusji. Opowiadano mi o cudzoziemcu, który w wagonie wdał się w rozmowę — zresztą zupełnie towarzyską i bardzo umiarkowaną — z towarzysząmi podróżny. Nazajutrz w hotelu zjawili się faszyci i dali mu do wyboru! nie prowadzić nigdy dyskusji na temat faszyzmu, albo opuścić Włochy natychmiast i na zawsze. Wybrał to pierwsze. I wobec tego, że niema dyskusji, odnosi się wrażenie, że wszyscy Włosi są faszystami.

Z dawnej bytności w Rzymie pozostały mi w pamięci straszliwe wrzaski małych chłopaków; roznosiciele gazet: Avanti! Avanti!

Teraz niema Avanti. Nie wychodzi ani jedno pismo niefaszystowskie. Cenzura.

„Il duce” jest silny, bezwzględny, jednolity. Potrafił uchwycić moment psychologiczny, znakomicie utrafił w strunę rzymskości i imperjalizmu, jak rzymscy Cezarowie dając ludowi „panem et circenses”.

W cudownym starym Rzymie, w „wiecznym mieście” nowi Rzymianie pozdrawiają się ślicznym gestem wyciągniętej prawej ręki — jak dawni. Brakuje tylko togi...

Projektowane jest odbudowanie starych rynków rzymskich w centrum miasta podług dawnych wzorów, zburzenie wszystkich domów mieszkalnych, psujących harmonję, i umieszczenie tu jedynie siedzib władz rządowych, muzeów i t. d. Jednym słowem: oczyszczenie z naleciałości późniejszych lat i przywrócenie dawnego wyglądu.

Wzmożone do wysokiego napięcia poczucie narodowe rozpościera się z centrum na cały kraj — nowo wzniesiony obelisk kamienny na Kapitolu, w pobliżu klatki z kapitolijną wilczycą, z wyrytym wierszem, głosi chwałę Włoch, liczne odezwy na murach mówią o misji, jaką „Italia” spełnić ma w dziejach świata. Nowy rozkwit imperjalistycznych Włoch pod hasłem: „wszystko dla ludu, ale nie przez lud”.

W lecie zwiedzałam Danję — nie tak dawno, temu jakieś dziesięć miesięcy. Jakże doskonale pamiętam tamte wzruszenia i takie mam wrażenie, że oddałabym wszystkie cuda boskich Włoch za ten mały, niziny kraj...

A przecież ten faszystowski rząd dokonywa wielkich, wspaniałych rzeczy: tworzy, buduje, organizuje, zakłada szkoły, pustynną Rzymską Kampanję zamienia w żyzne pola. Robi masę dobrych rzeczy — ale, że je robi pod innym hasłem, i innymi środkami, jakże inny panuje tam duch, niż w takiej Danji...

Na faszystowskie „święto urodzin Rzymu” 21 kwietnia, tłumy wyległy na ulice: pochody szkół ze sztandarami, orkiestry wojska, kolonialni, czekoladowi żołnierze na wielbłądach, od czarnych koszul aż się roi... Wszystko to mieni się w oślepiającym słońcu. Ustawiają się na placu dokoła Colosseum. Na podniesieniu: Mussolini i król.

A wieczorem Colosseum i Forum Romanum w kolorowych, zmiennych oświetleniach reflektorów wygląda zupełnie, jak w bajce. *Helena Boguszewska.*

<sup>1)</sup> Il capo der Governo.

<sup>2)</sup> W wagonie 2 kl. Warszawa-Rzym są rozkładane górne ławki do spania.

## OKRUCHY ASTRONOMICZNE

### Z ŻYCIA SŁOŃC.

Gdy spali się knot i wosk świecy, gdy zabraknie płomieniowi materji, paliwa, świeca gaśnie. Nad głowami naszymi żarzy się niezliczone mnóstwo — setki milionów — świec, które na niebie zapalił Stwórca: czy one także, te słońca Boże, spalają się — aż zgasną?

Badają to zagadnienie, szukają odpowiedzi na pytanie to uczeni, astronomowie, zajęci śledzeniem praw, rządzących życiem ciał niebieskich. Pokróćce przyjrzyjmy się wynikowi owych badań.

Przedewszystkiem wiedzieć należy, iż ciała świetlane, którym przyglądamy się nocną porą, zwane „gwiazdami”, są albo prawdziwie gwiazdami, świe-



caćcami własnym blaskiem—czyli słońcami, takimi, jak nasze słońce, a tylko, przeważnie, o wiele większemi, zato ogromnie od nas odległemi, albo też są — tak, jak nasza ziemia planetami, ciałami ciemnymi, świecącemi światłem słońca odbitem. Planety owe towarzyszą swemu słońcu, obracają się dokoła niego, tak, jak ziemia nasza i jej siostrzyce, inne planety naszego „układu słonecznego“ obracają się wszystkie dokoła naszego słońca — i są dla nas widzialne, jak rzeczony ciała, świecące światłem odbitem; towarzyszą zaś innym słońcom odkrywane są przez uczonych tylko dzięki temu, że w chwili, gdy przesuwały się mimo swego słońca, zasłaniają od nas częściowo jego blask—choć zresztą te, które, jak dotąd, udało się odkryć nie są jeszcze tak wystygłe, jak planety naszego układu słonecznego, towarzyszą naszemu słońcu, i świecą jeszcze potrosze własnym blaskiem.

Niejedną więc gwiazda stała to środek układu, to słońce, dokoła którego biega kręgiem drogi planet. Czy niektóre z owych planet są już całkiem ciemne, jak nasza ziemia? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa; badania ostatnie są już na ich tropie.

Miałaby tedy, zasadniczo, słońca gasnąć? Życie na ziemiach wszystkich, towarzyszących im, zamierać? Pomyślmy! Słońce blednie, stygnie powoli: zapada noc wieczna, mróz okrutny ściska; ginie wszystko — ludzie, zwierzęta, rośliny — czy, słowem, inne rodzaje żywych, nieznanym umysłowi naszemu tworów Boskich. Śmierć. Kres.

To pewna, że słońce każde przeżywa tak, jak stworzenie wszelkie: młodość, wiek dojrzały — i starość. Uчени rozpoznają wiek gwiazdy po barwie blasku: gwiazda młoda świeci radosnym, białym światłem, dalej blask żółknie, jak właśnie to zboże ku żniwom, a wreszcie rdzewieje, krwawi — jak gdyby kropla po kropli uchodziło z blaskiem wraz życie. Powtóre, za młodu gwiazda składa się z ciał lotnych, jak powietrze — mianowicie z gazów i jest przytem, ogromna, jest gwiazdą olbrzymem; powoli tężeje, robi się solidniejsza, chłodniejsza, kurczy się... aż stanie się gwiazdą — karłem, biednym staruszkim, któremu zbywa na zapale i lekkości młodego wieku! (Teoria amerykańskiego astronoma, Russel'a).

Czy przeto gwiazda skarłała, ów starzec-gwiazda umiera? I czy umiera na wieki?

Zasadniczą podstawą dzisiejszej nauki jest pogląd, że gdy materia danego ciała znika, spala się, zarazem wydziela się energja, siła życiowa, i to w ilości odpowiadającej ściśle ilości utraconej materji. Energja gwiazdy wyraża się promieniami ciepła i światła. Otóż w zastosowaniu do naszego słońca obliczono, że jedna setna część materji (masy) naszego słońca wystarczy na zapewnienie mu 150 miliardów lat wysyłania promieni ciepła i światła, niesłabszych, niż dziś! A miliard lat — to już tyśiąc milionów lat... Zaś 150 miliardów lat... W głowie się ludzkiej te liczby zaledwie mieszczą! Dość, że starczy, ponoć, słońca naszego dla najdalszych naszych prawnuków!

A jednak... miną nawet miliony wieków: słońce zgaśnie, bo straci wreszcie wszystką prawie materję. Co prawda, przybywa słońcu energii, dzięki temu, że spadają nań wciąż rozżarzone „Kamienie niebieskie“, meteoryty. Każdy z nas widział, zapewne, nie-

tylko „gwiazdy spadające“, okruchy słońc, ale też i większe kule ogniste, jakby skrzydlate, płomieniem, przelatujące skądś — i kędyści w przestrzeń... To właśnie takie bomby i granaty niebieskie, niosące z sobą życie słońcom — od innych słońc, które tym sposobem własną śmiercią jeszcze życie plenią, cudownym wyrokiem umierając, niemniej „przekazują jedno drugim pochodnię żywota“.

Trudno wszakże wyliczyć, czy przyrost życia, przyrost materji — a z nią energii słońcu, zapomocą owych wielkich i małych, do pyłu podobnych wędrowców-meteorytów, jest dostateczny, by zrównoważyć straty słońca. Niektórzy uczeni (Salet, Rac-Millan) powiadają — że dostateczny, że przeto gwiazdy są wieczne. Lecz... jeśli dostateczny nie jest? Wyobraźmy sobie takie straszne widowisko niebieskie: dokoła wystygłego słońca krążą nieprzerwanie martwe planety — jeden olbrzymi cmentarz! Ale za tajemnicą śmierci wślad idzie promienna tajemnica zmartwychwstania.

Zdarza się, mianowicie, że mimo tych ruchomych cmentarzysk przesuną się inne światy — jakiś młody jeszcze, silny blaskiem układ słoneczny. Wówczas zachodzi w przestrzeni szczególne zjawisko. My, na ziemi, znamy coś podobnego: widzimy, jak fale morskie wzbierają, wznoszą się ku światłu miesięcznemu; nie widzimy, jednak zapomocą przyrządów sprawdzić możemy, że powierzchnia ziemi podobnież faluje, drga, wzbiera, zarówno ku księżycowi, jak ku odległemu słońcu. Otóż, gdy wygasły układ słoneczny napotka układ żywy — prawem wzajemnego przyciągania się ciał wywiązuje się wnet takie falowanie materji od słońca ku słońcu: łącznie z niem energja ruchu przeobraża się w inną postać, w energję cieplną, świetlną. Cmentarz ożył!

W świecie ducha wszak nieraz bywa, że jakieś słońce zamarłe — jakieś skostniałe, znędzniałe serce ludzkie ożyje nagle, niech jeno zbliży się doń żywe, ciepłe, promieniste serce bratnie. A że w świecie ducha bywa też, iż spotka ślepy kulawego — i jakoś ulecą się wzajem — wznoszą, pokochają, ku dobremu, ku żywotowi zapalą. Otóż bywa to i w świecie słońc niebieskich: dwa zamarłe słońca napotkają się i wzajem się ku życiu nowemu na tejże zasadzie wzajemnego przyciągania pobudzą.

O tem wzajemnem oddziaływaniu na się słońc traktują uczeni angielscy, Chamberlain i Adalton. — Pozostaje to jeszcze, co mówi o zmartwychwstaniu słońc astronom Inues. Oto słońce zamarło. Lecz spójrzmy w głąb: napór chłodu i martwoty od powierzchni wywołuje odpór wewnętrzny, aż wyzwola się utajone w cząsteczkach materji siły, świeci się cud — słońce odradza się w sobie... przez siebie. Zdarza się tenże sam cud człowiekowi-samotnikowi, gdy z pozoru schłoneła go martwota: wnet głębi duszy poczyna się odpór, bohaterski sprzeciw, sprężenie się woli od wewnątrz — na przekór tej śmierci... Rozpadła się budowa starego człowieka w nas, człowiek nowy zmartwychwstał sam przez się, wysiłkiem dobrej swej woli.

Cuda te na niebie dalekiem, tajemniczem i cuda te w niemniej zagadkowych dziedzinach dusz człowieczych na skinienie prawdy się dzieją tejże samej — niezmiennej, jedynej, „co słońca porusza“ i serca. Prawdzie — miłość Boża na imię.

Zofja Reutt-Witkowska



FELICJA KRUSZEWSKA

## PRZEPISY WIOSENNE

*Drogiej nieprzyjaciółce, pannie Wandzie Borudzkiej — autorka*

*Gdy akacje pachną, jak dzisiaj, tak słodko i tak dusząco  
nie trzeba wyrzekać obłudnie, że jest nieznośnie gorąco.*

*Lecz trzeba mieć jasne suknie i świeże kwiaty w pokoju,  
unikać poważnych ludzi i wiosennego nastroju;*

*Broń Boże, nie mówić dużo: jedno wynaleźć słowo,  
potrafić je z siebie wydobyć, zapalić i zgasić nad głową.*

*Nie trzeba też śmiać się głośno, lepiej uśmiechać się skrycie:  
wiosna dziś trwoni swą piękność, ja trwonię swoje życie.*

*Można naprzykład umierać, ale umierać z zachwytem  
i jak najwięcej mieć skóry na ciepło słońca odkrytej.*

*Jeśli jest blisko trawa, najlepiej leżeć na trawie.  
Zapomnieć o wszelkiej pracy, dać spokój wszelkiej zabawie.*

*Nie kończyć, co się zaczęło, nowego nic nie zaczynać.  
Nie wołać tego, co będzie, przeszłego już nie wspominać.*

*Słuchać, jak szumią drzewa, a nawet jak trawa rośnie.  
Myśleć—najlepiej o niczem, przeniądy zaś—o wiosnie.*

*Ukorzyć się, zniknąć, zmaleć, stać się zupełną nicością  
i nie psuć sobie wiosny nauką, ani miłością.*





WANDA MIŁASZEWSKA

## GRANDE-GRILLE

Szkic powieściowy.

Obrócił się elegancko na pięcie. Brzęknęła szabla i ostrogi, cieniutką strugą powiał od jego postaci znajomy zapach: chypre.

Wyszedł z pokoju, tak, jak wszedł: — wysoki, piękny, strojny, buńczuczny. Tak jakby na świecie nie było wielkiej wojny, jakby po wdeptanych w ziemię łańcach żytnich nie spłynęła obficie krew:

A tego samego wieczoru jeszcze raz Gyurka Francegh stukał do pokoju baronówny. Nie mogła się spodziewać tak spóźnionej wizyty. W całym domu pogaszono już światła, ona sama przygotowywała się pójść do snu. Rozplotła swe piękne bujne warkocze i czesała je przed lustrem. Musiało w jej głosie zadźwięczeć przerażenie, bo piękny oficer powiedział, uśmiechając się:

— To ja. Niech się pani nie lęka. Ja tylko na momencik. Sprowadza mnie pilna sprawa... Czy można wejść?

— Tak, tak, za chwilę... Proszę zaczekać, ja zaraz... — odparła zmieszana, co prędzej zaplatając włosy.

Ręce jej drżały, gdy pośpiesznie wpinała szpilki. Serce jej trzepotało się od słodkich niespokojnych przeczuć. Wiedziała, że za chwilę stanie się coś ważnego, nieocfionego i że nie powinna pozwolić, aby Gyurka Francegh został w tym pokoju bodaj 5 minut — a wiedziała też, iż mu pozwoli pozostać i całować swe ręce i że nawet sama położy mu głowę na ramieniu, jak kiedyś, jak kiedyś...

I drżącym głosem powiedziała:

— Proszę.

Gyurka Francegh stanął na progu. Bez szabli, ostróg i orderów, był jakoś zwyczajniejszy, w swoim obcisłym mundurze z błękitnawego sukna. Był prawie dawnym Gyurką, przybyszem, którego tak bardzo pokochała, nie pytając, kto zacz i co tu robi.

Postąpił jeden krok naprzód i rzekł:

— Pani wybaczy, skłamałem. Nic mię tu nie sprowadza, tylko uczucie, że nie potrafię zasnąć, nie zobaczywszy pani chociaż przez chwilę, nie powiedziawszy pani: dobranoc. Pani wybaczy, prawda? Teraz jest wojna. My, żołnierze, nie zagrzewamy nigdzie miejsca. Dziś tu, jutro tam. A la guerre, comme à la guerre... Jutro może dostanę rozkaz wymarszu. Jutro o tej samej godzinie może będę bardzo daleko stąd. Kto wie? I pomyślałem sobie, że przecież to niepodobieństwo, abyśmy zmarnowali krótki moment szczęścia, darowanego nam przez dobre losy. Przecież to nie miałoby sensu... Dlatego odważyłem się przyjść aż tutaj, zastukać do drzwi pani, a może i do serca... Przecież to niemożliwe, aby nasza przeszłość umarła, powiedz, Lizo? Przecież pamiętać musisz... pamiętasz... powiedz, że tak?

W tem cichem, pragnącym „powiedz” brzmiał niemal rozkaz. Podniosła na niego oczy, pełne łez i rzekła:

— Tak pan wtedy nagle wyjechał. Bez pożegnania, bez słowa...

— Musiałem. A la guerre, comme à la guerre — powtórzył już po raz trzeci tego dnia i podniósł jej chłodne, białe ręce do ust.

Chodzili znowu razem po parku, po zarosłych, zagubionych w gęstwinie ścieżkach, po wybrzeżu cichego stawu. Często zapuszczali się bardzo daleko, między pagórkowate pola i szli tak długo, dopóki staczająca się po niebie kula ognista nie zawisła tuż nad fiołkową linią horyzontu.

Jesień zbliżała się cichymi krokami, kładąc ukradkiem, nocą, rude plamki na krzewach w ogrodzie i na wyniosłych czubach klonów. Z zielonego, świat powoli staje się złoty, ze złotego — rudo-czerwony, krajobraz poczyna płonąć, jak wielka pochodnia, aby wkrótce z popieliska obumarłej ziemi wyciągnąć zczerniałe ramiona konarów, ogołconych z liści.

Ale tymczasem dni były przedziwnie ciepłe i słodkie — niby miód, przeświecone słońcem, rozplątały się barwy jesienne.

Każdego ranka, budząc się, baronówna mówiła sobie: Czy to możliwe? Czy to wszystko się dzieje w rzeczywistości? Czy naprawdę Gyurka Francegh był tutaj, w tym pokoju, całował moje ręce, moje oczy i usta... Czy naprawdę ujrzę go za chwilę? Będzie siedział w jadalni, zajęty przeglądaniem swoich papierów ze sztabu i będzie machinalnie pochłaniał niewiarogodne ilości wędzonej szynki...

Po śniadaniu Grzebyczek przyprowadzał osiodłane konie. Grande-Grille kręciła się na miejscu niecierpliwie, a wielki deresz lejtnanta strzygł uszami i łagodne, mądre spojrzenie obracał w stronę drzwi wejściowych.

— Dziś pojedziemy na „Szklaną Górę” — powiedziała baronówna, skoro tylko znaleźli się za bramą. Cudowny stamtąd widok, zwłaszcza w tej porze roku, gdy lasy poczynają żółknąć. Nazwałam to miejsce „Szklaną Górą”, bo zbocza są bardzo strome, a na szczycie znajduje się skała, przypominająca ruiny zamku.

— Wiem — odparł Gyurka Francegh — czy nie pamiętasz, żeśmy zwiedzali razem całą okolicę?

Gdy się znaleźli na miejscu i, przywiązawszy konie do drzewa, weszli na szczyt owego wzgórza; Ludwika wskazała szpicrutą majaczące w oddali lasy.

— W tamtej stronie, o ile dzień jest bardzo pogodny, a powietrze zupełnie przejrzyste, można zobaczyć Święty-Krzyż.

— Tak, w prostej linii od tej wielkiej gruszki — potwierdził oficer.

— Czy wiesz — ozwała się nagle — tędy przechodził front. A tutaj, o, tutaj, gdzie stoją nasze konie, były okopy. Jeszcze je widać, chociaż zarosły trawą.

— Tak, trzecia linia okopów — uzupełnił jej objaśnienia.

Zamyśliła się. Po chwili rzekła, patrząc mu w oczy:

— Właściwie nigdy nie powiedziałeś mi... Do dziś dnia nie wiem, co tu robiłeś wtedy, pamiętasz, przed wojną? Poznaliśmy się przypadkiem, kiedy spytałeś o drogę do miasteczka. Przyszedłeś potem, przedstawiłeś się ojcu... to wszystko, cośmy wiedzieli o tobie...

Gyurka Francegh uśmiechnął się, oczy mu błysnęły dalekiem wspomnieniem.

— Teraz mogę zaspokoić twoją ciekawość. Tutaj, tu właśnie był bardzo ważny punkt strategiczny.



Chodziło o wyzyskanie terenu. To ja rysowałem plan „Szklanej Góry”, to ja wyznaczałem linję okopów. Byłem wówczas najmłodszym oficerem sztabowym, a jednak powierzono mi tę ważną misję. I — widzisz. Nie zrobiłem omyłki. Tutaj istotnie rozpoczęła się ofensywa naszej armji.

— ...Naszej armji... — powtórzyła cicho baronówna i przymknęła oczy. Pod powiekami jej zamajaczyły niezapomniane obrazy: przemarsze różnych wojsk, zwycięskich i zwyciężonych, ciężkie dymy armatnich poisków i wykrzywione cierpieniem twarze rannych żołnierzy, których zwożono do pałacu, gdzie mieścił się prowizoryczny ambulanś.

Spojrzała na swego towarzysza. Nosił przecie obcy mundur, jak wszyscy tamci, których nienawi-

dziła z całej duszy, ponieważ zakłócili jej ciche życie, zburzyli spokój, wdarli się w głąb jej domu, — obcy najeźdźcy, różniący się od siebie tylko odmiennym strojem.

— Był wywiadowcą, był szpiegiem! — pomyślała z odrazą i serce skurczyło się boleśnie. To on wyznaczył na mapach okopy, które miały sęczyć się obficie ludzka krew...

Tak, dla niej Gyurka Francegh stał się niejako uosobieniem wojny, która unicestwiła na zawsze słodką beztroskę jej życia. A jednak kochała go. Kochała go przez szereg lat, do dzisiejszego dnia, dziś kochała go bardziej, niż wczoraj. (c. d. n.)

MARJA JEMIANNE - WIELOPOLSKA

## LISTY TE, INNE I NAJINNIJSZE

2

### LIST II

Kochana moja i Drogal

nie dziw się owemu nagłemu „ty”.

Widzisz — dzieli nas najpierw szalona przestrzeń ziemi, gór, wód, klimatu, co samo przez się wpływa mroźnie na temperaturę słowa. Pozatem będę Ci właśnie mówił rzeczy może bolesne i twarde, będę Ci mówił rzeczy, które przeczuwasz i wyczuwasz — wiem — ale przed którymi dziecinny wprost gestem zasłaniasz oczy strwożone. Dlatego odrzuciłem owe zimne „Pani”.

Chcę w jakikolwiek bądź sposób, chcę coüte que coüte aksamitem powlec szorstkość moich słów. Nazbyt mi jesteś miłą i cenną, Kochana moja, abym Cię miał ranić, nie raniąc siebie samego. Nazbyt Cię lubię! Rozległość wyrazu „lubieć” jest większa, niżli sądzisz, Ty, która nosisz w sobie wyrazy słodsze i gorętsze, wyrazy krańcowe, przez co wzgaraliwy nieco Twój do tamtego wyrazu stosunek. Mylisz się, Kochana moja! Lubić, to także świat cały wrażeń, przemyśleń i cierpień nawet. Lubić to także uczucie głębokie, łagodne i ciepłe. Trzeba umieć lubieć, jak trzeba umieć kochać, inaczej i to i tamto będzie brzydkie i puste. Ale — wracam do tematu.

Kiedy otrzymałem telegram z Helouan-les-bains o śmiertelnym zachorzeniu mojej Matki i musiałem nagle opuścić kraj, kiedy odjechałem Ciebie, w chwili poczynania się miłości Twojej ku mnie, zdawałem już sobie doskonale sprawę, że jesteś mi nieskończenie miłą, ale że Ciebie nie kocham, że n ożliwe nawet, że nie pokocham Ciebie nigdy — Dlaczego?! Zdaję sobie sprawę wyraźnie, ale nie umiem tego wypowiedzieć. Przyszło coś za prędko, czy może za późno.

Tu absolutnie nie my, nie Ty, nie ja, odegraliśmy rolę, lecz czas, lecz umiejscowienie zdarzenia w czasie. Zdarzenie każde jest w życiu niczem, jest samo w sobie bez znaczenia, charakter mu nadaje tylko umiejscowienie go w czasie. Koloryt wszystkiemu nadaje wskazówka zegara... Otóż w naszym wypadku także nie myśmy rolę odegrali, ale owe umiejscowienie zdarzenia w czasie. Nastąpiło za szybko, czy za późno. Spostrzegłem to momentalnie, Tyś zaś zapytywała się strwożona i oszołomiona mojem za-

chowaniem, czy nie czułem poprostu do Ciebie fi-zycznej odrazy, gdy się do mnie garnęłaś w lekliwe pieścizocie.

Nie. Najmilsza moja.

Wzruszony, brałem Cię w ramiona. Bardzo wzruszony. Nie kochałem Ciebie — jeszcze, czy już — ale kochałem wdzięk Twojej pokory, Twego oddania, tak całkowitego i pięknego w linii. Trzymałem Cię w ramionach, nie jak kochanek, lecz na pewne także nie jak brat. Zanadto silnie wyczuwałem Twoje drżenie, które się udzielało i mnie, przez filtr Twojego żalu i pytającego spojrzenia.

Żalowałem okrutnie, że tak nas nagle rozdzielił los i że nie mogłaś, jak to było Twojem pragnieniem, oddać się mnie zupełnie, Kochanko niekochana, a najmilsza!

Nie rzucę Ci nawet zdawkowego frazesu, że w akcie owym brałbym od Ciebie więcej, niż dać bym Ci w stanie — nie! Wiem, że kobiecie takiej jak Ty, której miłość jest całopaleniem i gorączkowym pędem w poszukiwaniu symbolu — symbol oddania się kochanemu człowiekowi musi przynieść pełnię szczęścia. Najwyższe quantum szczęścia! Oczywiście tworzywo tego szczęścia składałoby się tylko i wyłącznie z walorów Twego czarownego uczucia, z Twojego uniesienia, z Twojej dla mnie tklivości — nie z walorów moich.

Kochana moja! nie pycha samcza przezemnie przemawia, zapewniająca Cię o rozkoszy w ramionach moich. Pycha samcza jest zawsze przekonaną w gruncie rzeczy, o darzeniu kwantytatywnem i kwalitatywnem rozkoszą tej, którą posiedzie, tymczasem ja mam tylko głębokie zrozumienie dla ślicznego uczucia Twojego, co raczej szuka symbolu oddania się kochanemu człowiekowi, niżli aktu.

Żałuję rozpaczliwie, że nie uczyniłem Ciebie swoją, aby Ci dać urzeczywistnioną złudę nieurzeczywistnionego szczęścia i radość symbolu. Ty tak umiesz chwilę krótką uczynić ważnym, niekończącym się wprost wypadkiem — zdawkowy gest przemienić w druzgoczącą wróżbę! Ty tak umiesz żyć fragmentem chwili, sekundą bólu, czy upojenia! Czas, długość czy krótkość okresu szczęścia, głębokość czy płytkość tego czy owego zdarzenia, nie egzystują dla Ciebie. Masz miarę Swoją własną wo-



bec wszystkich zjawisk i dlatego żyjesz tak dziwnie, w takim międzykrańcowem zawieszaniu. Oparta równie silnie o sens, co o bezsens, w mocnem upewnieniu, że cokolwiek przeleci błyskawicą przez Twoją myśl, to już jest rzecz spełniona, realna, trwałą i nieśmiertelną. Masz rację — może. Może niema nic poza nami, tylko to co jest w nas. Pytasz mnie, czy mnie nie nudzą Twoje bolesne listy, pełne tęsknoty i łez. Powiem Ci szczerze: jak każdy mężczyzna, łez nie lubię, ale ponieważ są to łzy Twoje, ponieważ wiem, że nie spowodował je ani gniew obrażonej ambicji, ani uraza historyczna, ani banalna, często praktykowana w tej formie kokieteryja, lecz istotny smutek, ponieważ Ciebie lubię nadewszystko, więc mnie też Twoje łzy bolą i palą. W istocie tej miłości, którą mnie otoczyłaś, w elipsie tej ciepłej, niegasnącej smugi, leży nieuleczalny smutek — wiem przecież, że Ci miłość ta niczego nie daje, prócz szarpaniny, tęsknoty i zwątpienia, więc jakżebym się dziwić mógł łzom, lub przejść mimo nich z obojętnością, albo od nich odejść zrażony!?

Tyle jest olśniewającej prostoty w Twojem uczuciu! Sama mówiłaś mi kiedyś żartobliwie, że piękna miłość u kobiety jest właściwie zawsze kazirodczą, bo zawsze ma w sobie pierwiastki macierzyństwa. Jest więc w Twojem uczuciu ów pierwiastek czarownicy — jakże go nie uszanować? Jakże nie ma bić serce moje żywiej na myśl, że na kresach zagadnień wszelakich, poza wszelkiem zagadnieniem raczej, pali się dla mnie wierny i czuły promień czystego uczucia?



To Ci chciałem powiedzieć i to wyjaśnić.

Nie mogę Ciebie traktować jako epizodu w mojem życiu. Choć nie miałem szczęścia Ciebie pokochać, ani pragnąć, ani osiąść — nie będziesz przynigdy w mojem życiu epizodem. Przenigdy! Zrozum, że takie uczucie, jak Twoje, jest albo zupełnie niewiadome, albo zdobywa wieczne i ważne miejsce w życiu obdarzonego. Inaczej być nie może.

Głęboko, serdecznie, tklawie Cię lubię, Kochanko moja! nązbyt Cię lubię, aby nie bić głową o mur z rozpacz, że nie mogę Ci tego powiedzieć na co czeka — podświadomie może — Twoje serce umęczone. Na to krótkie słowo: kocham Cię.

Nie kocham Cię — jeszcze czy już — ale Cię lubię, ale Cię osłaniam ciepłym ramieniem przed możliwością cierpienia, przed cieniem cierpienia, o Najmilsza moja! Może Cię osłonię.

Wsta Twoje tak pokornie mi kiedyś podane, całuję, jeżeli pragniesz tego pocałunku i ręce Twoje, z czcią, z tklawością, z przepastnie ukrytem pragnieniem, abym je mógł kiedyś ucałować, jak człowiek do głębi zakochany. Módl się do Swoich Świętych o tę łaskę dla mnie.

Tymczasem tylko Ci dziękuję za dar najwyższy Twojego serca, za samą zjawę Twego uczucia tak ślicznego, za dar nieznanego mi ciała Twojego, od którego oderwało mnie przeznaczenie.

Dziękuję Ci.

Lubię Ciebie. Lubię listy Twoje i tęsknię do nich. Tylko do Ciebie nie tęsknię — jeszcze, czy już

Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

18

W Tours, a później w Loches (gdzie przebywano do 23.V) rada królewska deliberowała przewlekle nad dalszą akcją wojenną. Ta powolność doprowadzała Joannę do rozpacz. Raz weszła do komnaty, gdzie król z kilku najbliższymi rozmawiał, wprowadzona przez Jana Orleańskiego, szczerze jej oddanego teraz, a ściskając nogi Karola, odezwała się błagalnie:

— Miłościwy królewicu, nie zwołujcie już tak wiele i tako długich rad, jeno idźcie wraz do Reims odebrać wasze godne pomazanie!

— Zali to Rada twoja mówi tobie takowe rzeczy? — zapytał rycerz d'Harcourt.

— Tak jest... i boli mnie wątpienie wasze.

— Aza nie chciałabyś rzec nam tu, w obliczu króla, w jakim owo sposobie przemawia do cię Rada twoja?

— Pojmuję, co się wam podoba wiedzieć i nie wymawiam się onego. Kiedy nachodzi mnie smutek, iż ludzie nieskoro wierzą temu, co im objawiam wedle boskiego rozkazu, wondrous idę na osobność i skarżę się Panu... A po takich modłach moich, rychło słyszę głos, mówiący mi: „Córo Boga, idź, idź, idź! Jam ostoją twoją — idź!“ I słuchając onego,

mam radość wielką — a nawet chciałabych ostawać wiecznie w takowym stanie...

Podobno mowa ta i zachwycony wzrok Dziewicy, jakby ścigający po powietrzu niebiańskie zjawy — zrobiły wielkie wrażenie na obecnych.

Nie ulega wątpiwości, że już wtedy niechęć do Joanny nurtowała w marnych duszach obłudnego La Tremoille i wyrachowanego chciwca, arcybiskupa Régnault de Chartres — głównych przeciw doradców króla. Nie znosili oni tej natchnionej wieśniaczki, tak, jak po wszystkie czasy małość nie znosi wielkości. Niewiadomo, czy ich „rady zazdrośne, maluczkie“<sup>1)</sup> rozmyślnie przycichły wtedy, spodziewając się pasożytniczego łupu na dziełach cudzego genjuszu — czy też straciły chwilowo wszelką moc nad królem, wobec niezmiernego uroku rycerki bożej?

Ostatecznie bowiem ona zwyciężyła: postanowiono ofensywę, na razie przeciw twierdzom angielskim nad Loarą: Jargean, Meung i Beaugency, które rozsiadły się w trójkąt około Orleanu. Już Bastard Jan próbował sam, po uwolnieniu rodzinnego miasta,

<sup>1)</sup> Bernard Shaw — „Święta Joanna“.



dobyć Jargean — lecz musiał się cofnąć, wobec dobrych umocnień i zaciętego oporu. Nie dziwiło to jednak, ni zniechęcało nikogo: walka bez Dziewicy nie mogła być zwycięską!

Zdaje się, że wszyscy dowódcy francuscy, prawdziwi ludzie wojny, zrozumieli już wówczas swą niższość... i przeważnie, ku ich chwale rzecz należy, nie żywili zawiści. Można by nawet nawiasowo zauważyć, że w tem ich radosnem podporządkowaniu się wielkości widać wyższość moralną żołnierki nad dyplomacją... W Orleanie nie mogli jeszcze dobrze wiedzieć, z kim mają do czynienia: mogli sądzić, że pokierują po swej myśli tą świątobliwie naiwną dziewczyną, powołaną jedynie do niecenia zapału w tłumach — prędko jednak się przekonali, że oni to byli narzędziami w jej ręku. Lecz poddać się mocy boskiej, choćby w dziewczęcym objawionej ciele, nie hańbiło bynajmniej rycerza. Jan Orleański daje dowód swej szlachetnej bezstronności i inteligencji, otwartem wyznaniem:

— Drzewiej 800 i 1,000 naszych tył podawało dwustu Angielczykom — a ninie starcza nam 500 zbrojnych, by stawiać czoło wszystkim ich potędze!

To też on, młody książę d'Alençon, stary, rubaszny zabijaka La Hire i inni wybitni partyzanci, jak Potou i Santrilles — oni wszyscy stają murem przy Joannie. Ks. d'Alençon, mianowany oficjalnym wodzem wyprawy, nie wstydzi się ulegać radom Dziewicy, co mu zresztą król wyraźnie poleca. Obu ich pcha do czynu groźne ostrzeżenie;

— Nie trwać mi więcej, nad rok jeden... Baczcież, by onego czasu nie marnować, ino działać tego!

Znaczną zwłokę powodowała konieczność nowego zaciągu; lecz ten szedł nadspodziewanie szybko.

— Rycerze zbiegali się ze wszęch stron — mówi stara „Chronique de la Pucelle“ — wierząc mocno, iż owa Joanna przychodzi od Boga, i bardziej w onej myśli, niżli dla żołdu, alibo zysków jakich od króla. Ubożsi pośród nich, nie mający zbroi, szli, jako łuczniki i sztyletniki, na małych konikach — albowiem każdy oczekiwał barzo, iż przez oną Joannę wiele dobrego przyjdzie na Królestwo francuskie.

Ciekawym dokumentem jest list braci Laval, którzy opisują matce i babce (wdowie po sławnym wodzu Du Guesclin) zaciąg swój pod chorągwie Dziewicy:

„Rzeczona Dziewka okazała nam twarz bardzo przychylną. Zbroja była na niej całkowita, okrom hełmu — a w rękę dźwżyła kopiję. Gdyśmy przybyli do Selles-en-Berry, nawiedziła jej komnaty, iżby ją jeszcze obaczyć. Goszcząc mnie winem, rzekła, iż wrychle będziem je pić w Paryżu. Widzieć ją i słyszeć — zda się rzecz cale cudowna...

W on poniedziałek na wieczór wyruszyła z Selles do Romorantin, 3 mile naprzód, iżby się przybliżyć do gościńca. Marszałek de Boussac i siła zbrojnych, a także ludu, było z nią. Widziały, jak dosiadała konia, cała w białym pancerzu, ale z głową odkrytą, a w rękę miała mały toporek. Wielki, kary rumak wspinał się mocno przede drzwiami domostwa, tak, iż przystąpić doń nie mogła. Rozkazała natenczas: „Wiedźcie go pod krzyż!” Krzyż ów stał przed kościołem, bliżutko, na drodze. I tam dosiadała rumaka, którego się cale nie ruszał, jakoby był spętany. Potem, obracając się ku bramie kościelnej, rzekła, dość słodkim niewieścim głosem: „Wy księża i ludzie Kościoła, czyńcie procesje i modły Panu!” Wówczas ruszyła koniem, mówiąc: Naprzód w drogę!“ a wdzięczny paź niósł wpodług sztandar jej zwinięty.

Nigdy nie szło się wojować z taką ochotą, jako w onej potrzebie”

(c. d. n.)

## GIUSEPPE VERDI

Kilka słów uzasadnienia tematu.

Verdi urodził się w r. 1813, twórczością swoją wypełnił po brzegi cały wiek XIX i w dalszym ciągu nie schodzi z programu teatrów operowych obu półkól świata, stał się tych teatrów kapitałem żelaznym.

Cóżby począł warszawski Teatr Wielki, gdyby mu kazano skreślić z repertuaru „Aidę“, „Rigoletto“, „Bal maskowy“, „Otella“? — Ale jego popularność nie zawsze była jednaka. Gdy w drugiej połowie w. XIX wkroczył na widownię dramat muzyczny Wagnera, gwiazda Verdi'ego zbladła. Przez długi czas zdawało się nawet, że skończyło się panowanie opery włoskiej, której najznakomitszym reprezentantem był w tym okresie Verdi.

Tymczasem ostatnie lata przyniosły z sobą pewien zwrot. Wagner wydał epigonów, ale nie wydał godnego siebie następcy. Jego teorie estetyczne zaczęto stawiać pod światło i dostrzeżono w nich skazy. Wagnerowski dramat „wszechsztuka“ (Gesamtkunstwerk) okazał się niewystarczający. Zaczęto zastanawiać się zasadniczo nad racją bytu takiego związku sztuk, w którym jedna, z konieczności, musi przycinać drugą i widz-słuchacz musi wybierać: albo chce słuchać muzyki, albo chce rozumieć słowo. Albo ośrodkiem zainteresowania jest treść pojęciowa akcji, a w takim razie muzyka spada do rzędu sztuki ilustracyjnej, albo jest naodwrot, a wówczas treść tego, co się na scenie wyraża słowami, jest bez znaczenia dla słuchacza; wystarcza mu muzyka i obraz wizualny.

Odżył konflikt, wynikający z istoty formy operowej, stary jak sama opera, odżyło jej hamletowe pytanie: co tu ważniejsze, słowo sceniczne, czy muzyka? A życie nadało tej kwestji odrazu postać praktyczną:

Wagner — czy Verdi?

W ten sposób Verdi stał się symbolem aktualnego problemu estetycznego. Ogłoszono „nawrót do Verdi'ego“, podobnie, jak w innej dziedzinie muzyki, nawrót do Bacha. Nawroty takie są zresztą w dziejach myśli i twórczości ludzkiej rzeczą zwyczajną, znamy je w sztukach plastycznych (np. nawrót do średniowiecza), i w filozofji (nawrót do Kanta), — jeśli wolno małe przyrównać do wielkiego, jak powiada przysłowie łańskie. Są one zawsze wyrazem pewnego przełomu.

Oto jeden tytuł do aktualności tematu. Drugi — to 25-cio lecie śmierci Verdi'ego (umarł w r. 1901)<sup>1)</sup>.

l \* \*

Verdi nie był nowatorem i pod tym względem do Wagnera przyrównać go nie można. Ale był wskrzesicielem najlepszych tradycji, najświetniejszych

<sup>1)</sup> Sprawy te poruszyła ostatnio książka muzyka austriackiego Franciszka Werfla „Verdi... Roman der Oper“; książka ta, napisana z niezwykłym znawstwem przedmiotu, stała się głośną w całej Europie i sama przez się przyczyniła się do obudzenia zainteresowania się Verdi'm. Autor w sposób subtelny i wnikliwy daje psychologję genialnego twórcy w przecięciu specjalnie wybranem, mianowicie w r. 1883, gdy Verdi, starzec 70 letni, kompozytor o sławie światowej, znalazł się wobec zjawiska Wagnera. Jest to więc, jak już z niezwykłego tytułu widoczne, powieść, której bohaterem jest wprawdzie Verdi, ale powieścią jest powieścią o operze!.

Tenże Werfel przystąpił do nowego opracowania jednej z zapomnianych oper Verdi'ego: „La forza del destino“ (Siła przeznaczenia) i zamierza ją, jako sensacyjną nowość, wystawić na kilku wielkich scenach europejskich



kart w dziejach opery włoskiej i dlatego dopiero na tle tych dziejów znaczenie jego rysuje się wyraziście.

Jeśli te dzieje chce scharakteryzować lapidarnie, zapomocą kilku cech najistotniejszych, można je nazwać dziejami stosunku pomiędzy wagą słowa, a wagą muzyki i krystalizowania się równolegle do tego melodyki, jako głównego środka wrazu muzycznego.

Opera narodziła się pod koniec w. XVI we Florencji pod hasłem „dostojnego postponowania śpiewu”<sup>2)</sup> na korzyść czegoś w rodzaju patetycznej deklamacji, której podporę stanowiły w orkiestrze stosowne akordy. Z teoretycznych rozważań zrodziła się reakcja przeciw niedocenianiu słowa, przeciw muzyce, która „nie pozwala dosłyszeć wyrazów, psuje ich sens i miarę wiersza, już to wydłużając, już też skracać zgłoski”<sup>3)</sup>. Ową nową formę połączenia słowa scenicznego z muzyką, formę, polegającą raczej na mówieniu, niż na śpiewaniu, nazwano „stylem recytatywnym”, lub krótko recytatywem. Niebawem ten recytatyw w miejscach silniejszego napięcia dramatycznego, lub lirycznego, zgęszcza się w osobne wyrażnie odgraniczone całości, w których pojawia się zpowrotem śpiewność. W ten sposób powstaje „arja” operowa. Z biegiem czasu cała opera rozpada się na szereg takich samodzielnych części — numerów, staje się muzycznym złąpkim „aryj”, „recytatywów”, „duetów”, „zespołów”, do których dochodzi jeszcze „uwertura” i „finał”.

Arja staje się okazją dla opisu śpiewaczek i śpiewaków, otrzymuje w tym celu całą sztukaterję muzyczną, mnóstwo tryłów, passaży i t.p., które znów stopniowo ciężarem swym przygniatają wszelką jej treść, zabijają melodję. Pois śpiewaczy z rze czy ubocznej wyrasta do godności głównego i najważniejszego celu, opera schodzi na manowce (w XVII—XVIII), ale jednocześnie Włochy zdobywają sobie miano ojczyzny „bel canto”, pięknego śpiewu. Do dziś pozostały nam w spadku po tej epoce: koloratura, t.j. barokowe ozdoby, przydatki arji, stanowiące cel sam dla siebie, zarazem jednak doskonale włoskie szkoły śpiewu.

Reforma przyszła w w. XVIII i zwróciła się siłą rzeczy nie tylko przeciw specjalnemu rodzajowi opery, ale jednocześnie przeciw jego ojczyźnie, Włochom. Reforma wyszła z Francji (Lully, Rameau), a najwybitniejszym przedstawicielem nowego prądu był Niemiec, całą swoją twórczością i działalnością należący do Francji: Gluck (1714—1787). Gluck wystąpił w imię powrotu do naturalności, do szczerości, prawdy i prostoty wyrazu muzycznego, w imię oczyszczenia śpiewu z chwastów, zabijających ten wyraz, uwypuklenia słowa i zespolenia go z muzyką. Odtąd na dłuższy czas przodownictwo w ruchu muzycznym i operowym przypada Francji, Paryżowi.

Na przełomie w. XVIII i XIX kompozytorowie włoscy Donizetti, Bellini, Rossini rozpoczynają odzyskiwać dla ojczyzny swej utraconą pozycję.

Ale dopiero Verdi'emu udaje się to całkowicie.

Verdi nie tylko przywrócił w znacznej mierze operze włoskiej jej poprzednie stanowisko, ale odzyskał dla bel-canta włoskiego dobrą, pierwotną jego reputację, pokazał, że wyraz niekoniecznie musi iść w parze z usunięciem śpiewu w cień, ale przeciwnie znajduje w śpiewie najlepsze ujście. U Verdi'ego nie słowo, lecz sama przez się muzyka wzięła na siebie rolę w operze najistotniejszą: oddania skondensowanej, dramatycznej, lub lirycznej treści uczuciowej, przyczem najważniejszą część tego zadania w operach mistrza włoskiego spełnia jeden element muzyczny: melodia. Reszta (instrumentacja,

harmonja), to środki pomocnicze. Dlatego Verdi stał się także ulubieńcem śpiewaków i miarą ich sztuki śpiewaczej.

Na tem polega jego znaczenie w dziejach opery i po epoce Wagnera, spadkobiercy, kontynuatora idei Glucka — taki właśnie sens ma „nawrót do Verdi'ego”.

\* \* \*

Może nie od rzeczy będzie uprzytomnić sobie pokrótce koleje życia i twórczości najznakomitszego melodysty włoskiego.

Mówić o życiu Verdi'ego, to znaczy właściwie to samo, co mówić o jego twórczości. Jedno wyraża się najdokładniej przez drugie, tak dalece jest z niem spojone organicznie. Poza zdarzeniami zwykłymi i wypadkami, jakimi było każde wypuszczenie w świat nowej opery, żadnych sensacyj niema tu co szukać.

Verdi urodził się w r. 1813 w małej mieścinie włoskiej, w okolicach Parmy, z rodziców ubogich, był synem ludu, to wyrażało się zawsze, w całym jego pracowitym życiu i postępowaniu; w sposób szczerzy, niewymuszony. Uczył się muzyki, najpierw w mieście Busseto, później w Medjolanie.

W Busseto znalazł wcześniej opiekę i poparcie u jednego z miejscowych zamożnych obywateli, w rodzinie tej (Barezzi) traktowany był jak syn i z córką swoich opiekunów się później ożenił. Za ledwie pięć lat jednak było mu dane zażywać szczęścia niezamężnego. Umarło mu najpierw dwoje dzieci, niedługo potem stracił pierwszą żonę. Po raz wtóry ożenił się znacznie później ze śpiewaczką Józefą Strepponi. Umarł w r. 1901. — Żył i tworzył w Medjolanie, gdzie wprowadziła go w świat słynna „La Scala”, w Wenecji, Florencji, Rzymie, w Paryżu.

Najchętniej jednak, zwłaszcza w drugiej połowie życia przebywał we własnej swojej małej fermie, którą nabył w stronach rodzinnych, i dzielił swój czas pomiędzy pracę kompozytorską, a pracę na roli. Nie lubił wielkiego towarzystwa, nie tolerował ani u drugich, ani u siebie blagi. Był to człowiek wogół czysty z jednej bryły, konsekwentny i zdecydowany w czynach, nieustępliwy i bezkompromisowy także wobec tych, od których zależał jego byt, pełen skromności i prostoty w obcowaniu z ludźmi. Zaszczytów unikał, mimo że spływały na niego, rzecz jasna, jak najobficiej: był przecie przez długi czas najpopularniejszym człowiekiem w swojej ojczyźnie!

Albowiem był nie tylko twórcą, ale obywatelem żywo odczuwającym losy swego społeczeństwa. Żył w epoce szczególnie burzliwej, w ciągu której powoli w bólach i wstrząsach rodziła się jedność narodowa włoska. Verdi stał od samego początku po stronie Mazzinich i Garibaldich; w operach swoich, jakkolwiek tematy ich dalekie były od współczesnej im chwili, umiał potrącać o struny, znajdujące odrazu rezonans u słuchaczy („Bitwa pod Legnano”, „Lombardowie”).

Tworzył w pewnych okresach życia niesłychanie szybko: między r. 1840 a 1850 zobowiązany był dostarczać i istotnie dostarczał dyrekcjom co roku jedną lub dwie opery. Ogółem napisał ich 27.

<sup>2)</sup> „nobile sprezzatura del canto”, jak powiada współczesny teoretyk i kompozytor Caccini (1550—1618) w przedmowie do dzieła „Nuove musiche” (1601). Znakomity muzykolog Rieman wyraża sprezzatura tłumaczy coprawda trochę inaczej. Ale nie tu miejsce nad tem się rozwodzić.

<sup>3)</sup> Tenże sam Caccini, w tem samym miejscu.



Kulminację pierwszą twórczość jego osiąga pomiędzy r. 1851 a 1853. Wówczas powstają dzieła, które imię jego rozniosły po świecie: „Rigoletto”, „Trubadur”, i „Trawiata”. Następne momenty szczytowe — to ukazanie się „Balu maskowego” (1859), „Aidy” (1871), i „Otella” — po przeszło dziesięcioletniej pauzie (1887), podczas której milczał i pozwalał ludziom przypuszczać, że Verdi się wreszcie wyczerpał. Ale Verdi był niespożyty. Jeszcze po „Otellu” przyszedł (w r. 1897) „Falstaff”, świetna komedia muzyczna (opera buffa). Szedł z czasem, ale bynajmniej nie w sensie naginania siebie do czasu. Formę swych oper, środki wyrażania myśli muzycznej, stale ulepszał, wyostrzał; miarą — różnica, jaka zachodzi pomiędzy jego operami pierwszymi, a „Otellem” (1887). Ale z dorobku epoki brał tylko to, co mu się mogło przydać dla lepszego wysłowienia się. Sobie nie sprzeniewierzył się ani razu, mimo, że mu przez pewien czas horyzont przesłoniła potężna indywidualność twórcy Bayreutu: w szeregach naśladowców Wagnera się nie znalazł, wbrew błędnej i rozpowszechnionej co do tego opinii.

I to stanowi właśnie jego wartość — wciąż jeszcze żywą. J. R.

## EUGENJUSZ ZAK

Dn. 15 stycznia bież. roku zmarł w Paryżu malarz polski, Eugenjusz Zak<sup>1)</sup>.

Zmarł nagle na serce w czterdziestym drugim roku życia, a stało się to w okresie, gdy osiągnął, jak to się mówi, szczyt sławy, powodzenia i nawet względного dobrobytu.

Zak był bardzo ceniony i znany w zachodniej Europie, w Ameryce i Japonji. Już od 1906 r. był członkiem jury paryskiego Salonu Jesiennego; prace jego zdobią willę architekta Fr. A. Brenhausa w Bonn nad Renem; muzea Krakowa, Paryża, Château Thierry, Elberfeldu, Lipska, Düsseldorfu i Frankfurtu posiadają jego dzieła.

Doczekał się wielu studjów w pismach niemieckich i bardzo gorących artykułów pośmiertnych w miesięcznikach monachijskich i francuskich.

Zgoła niedzisiejszy język panuje w tych wspomnieniach, pełnych uczucia, poezji, serdeczności i osobliwego pietyzmu dla zmarłego.

W taki sposób żegna się drogiego, subtelnego poetę, człowieka „nie z tego świata”, gościa ziemi, który przyszedł, aby dać jej piękno i odejść.

I takim chyba Zak był. Taką w każdym razie była jego sztuka. Należy odsunąć się od rzeczywistości, wyraźnej, krzykliwej, ostrej, pełnej kantów i linii łamanych, należy odrzucić upodobanie w jej fotografowaniu, gdy mamy wejść w świat Zaka. By go zrozumieć, a co ważniejsze odczuć, musimy wzbudzić w sobie te stany, w których bodaj przez mgnienie widzimy sylwetę, esencje rzeczy, z towarzyszącym temu smutkiem „przed” i „po”.

Należy poddać się łagodnej melodji linii i barw, wziętych ze skarbcza marzeń i zadumy.

A wtedy może wejdziemy w krąg czarodziejski obcowania ze sztuką Zaka.

<sup>1)</sup> Zak urodził się w Częstochowie w 1884 r. Od 1901 r. studjował malarstwo w Monachjum i w Paryżu. Przebywał czas dłuższy w Rzymie i we Florencji. W 1904 debiutował w „Salonie Jesiennym”. Od 1914—21 był w kraju; następnie w Niemczech i w Paryżu.

Był członkiem stow. plastyków polskich „Rytm”.

Podczas niedawnego pokazu dzieł Zaka w salonie Garlińskiego panował naprawdę nastrój. Wyraz ten, tak niegdyś nadużywany, odtwarza jednak tym razem istotny zespół wrażeń, którym ulegał podatny widz po półgodzinnem przebywaniu wśród tych obrazów.

Emanowała od nich cisza, poezja, delikatna melancholja.

I oto w pokoju, odgrodzonym tylko szybami od ludnej ulicy miasta, można było trwać w skupieniu i zadumie, jak wśród przytłumionych dźwięków słodkiej muzyki.

Rzadko bardzo artysta poddaje dzisiejszemu widzowi taki rodzaj wzruszeń.

Wspomnienie, bajka o wyspach dalekich, w bezczasie rzucenych na błękit morza i różowość zachodu; pod kwitnącemi drzewami on, ona, ono, czy też ich miłość w postaci niezdarnego Eroska.

Dalej, szereg płócien figuralnych. Ludzie. Ludzie nierealni, raczej wizerunki ich duchowych stanów, najgłębiej wyczute psychiczne wzory algebraiczne (alkoholik, Arlekin, Mandolinista). Wreszcie przez syntezę osiągniętej wyżyn typowości, jak w „Żebraku”.

O każdej z tych postaci Zaka możnaby powiedzieć: to nie dany, indywidualny człowiek, ten, lub ów, lecz tylko: taki człowiek. Człowiek — abstrakcja.

Typowość, syntetyczność sytuacji cechuje wspomniane wyżej „idylle” (Pocałunek. Rozmowa. Pieśń Miłosna. Odpoczynek.) Jest w nich stała powtarzalność, niemal wieczność spraw życia.

Bez deformacji i sztucznego rozczłonkowania rzeczywistości Zak zrealizował czystą, wolną od wszelkich uwarunkowań sztukę.

Doszedł on do przedziwnie płynnej linii, działającej jak fala dźwiękowa i do „astralnych” tonów barwnych, mających swoistą delikatność, miękkość i kojącą prostotę.

Wyeliminowanie „życia”, naturalizmu, odrzucenie barokowej „chwilowości” i zjawiskowości, nie uczyniło dzieł Zaka suchemi, ani przeintelektualizowanymi.

Przeciwnie, zdolne są one rozkołysać i obudzić stężoną w praktycznym życiu uczuciowość i sprrowadzić stan skupionego obcowania z tem, co trwałe i niezmienne, rzeczy można z przeobleczonego w kształt ideami platońskimi.

Mimo uproszczeń, które stanowią cechę jego kompozycji, nie odczuwa się w nich prymitywizowania „z założenia”, jak wogóle nie odczuwa się zależności od jakiegokolwiek szkoły i kierunku.

Natomiast jest rzeczą uderzającą, jak bardzo głęboko znał Zak malarstwo współczesne i dawne, aż po włoskie trecento. Wielkie epoki artystyczne stuleci ubiegłych przeżył i przerobił w sobie, rozszerzając i wzbogacając niezmiernie własną skalę widzenia.

Kultura malarska przeszłości przeziara, jak złote tło, przez jego dzieła, nie ujmując im nic z samodzielności, przeciwnie udośćniając ich wyjątkową odrębność i oryginalność twórczą.

Prymitywizm, klasycyzm, raczej idealizm ducha, były mu najbliższe; technikę zdobywał przez realizm taki, jakim go pojmował Leonardo, t. j. przedewszystkiem w dziedzinie kształtu i linii. Świadczą o tem jego studja sangwiną głów, wykonane ściśle, drobniawo, z uwzględnieniem układu i napięcia mięśni, walorów skóry, zaznaczonych grą światła i głębią cieniów.

Prymitywizm Zaka, jeśli już o nim mówić, wyraża się w prostocie zespołów barwnych o wzmacnianej i ściśnianej kolorami sile; w nieskomplikowanej, niemal



naiwnej kompozycji, a nadewszystko w tem franciszkańskim tchnieniu, które przebiega przez jego tak bardzo wyrafinowaną i dojrzałą sztukę.

Klasycznym jest Zak przez umiar i rytm linii i kształtów, przez muzyczność gestu, przez harmonję układu postaci, wpływająca ze swobodnego, wrodzonego poczucia, które jest taktem i intuicją. W sztuce Zaka, prawdziwie apollińskiej, beznamiennej, a jednak przesyconej uczuciem, nie temperament, lecz duch jest motorem tworzenia. Artysta ten, pomijając wszelką natychmiastową reakcję, na wrażenia z zewnątrz, dotarł do najgłębszych pokładów własnego jestestwa i tam odnalazł prawdę, z której zrodziły się jego dzieła. Epoka, środowisko, wychowanie, wpływy, szkoła, względy techniczne, własne ciekawostki i błahe zainteresowania nie oplatają go pasorzytniczo.

Zak szczęśliwie dla siebie i dla sztuki przeszedł obok tego wszystkiego, czy też ponad tem, i jak Fra Angelico wcześniej, śmiało i wyłącznie zaczął odprawiać modły przed ołtarzem własnego piękna.

Jest w nim prostota i cichość florenckiego mistrza, jest zupełna bezpośredniość i bezinteresowność artystyczna, nie licząca się z opinią, modą, prądem panującym i gustem. Nie czuje się tu zamówień, ani rynku.

Przypuszczam, że do tak całkowitego odnalezienia i wypowiedzenia siebie dopomogło Zakowi jego przewyciężenie realizmu i użycie go jedynie za stopień techniczny, za narzędzie do poznania i opanowania rzemiosła.

Realistyczna koncepcja świata każe artyście być sługą zewnętrznosci, czujnie śledzącym zmienność jej powierzchni; wymaga ona od niego ciągłego wychodzenia poza siebie, wyteżania uwagi i zaostrenia zmysłów, by sens kształtowania się i wiecznego tworzenia życia mógł pochwycić i zinterpretować. Stanowisko takie grozi niebezpieczeństwem śliskich dróg łatwości i użycia metod, wiodących do fotografii.

Idealista typu Zaka nosi świat w sobie, sięga do głębi własnych odczuwań i wolny od schematów intelektualistycznych znajduje wyraz dla tych prastanów, t. j. stanów twórczych, jakie właściwe są dziecku, po raz pierwszy coś widzącemu i przeżywającemu, jakie zna ono marząc o świecie i po swojemu go przekształcając.

Zak doszedł do samego siebie. Mam wrażenie, że niewielu artystom współczesnym to się zdarza. Niewątpliwie wynik zależy od mocy ich talentu i od założeń świadomych, które sobie stawiają. Kto wie jednak, czy o sile ich nie stanowi władza wnikanania w siebie i dar wypowiedzenia się bez reszty, bez wprowadzania w błąd, bez poczucia niedosytu, lub niesmaku — z przegadania się.

Idealistycznej koncepcji, a raczej jej wykonawcom, grozi niebezpieczeństwo popadnięcia w manierę bajkowość, ilustratorskość, ckliwość i sztuczność. Forma staje się „miła“ i starczyć ma za treść.

Zak tego wszystkiego uniknął, pomimo bardzo stromych dróg, jakie sobie wybrał.

Linja wezowa, gibka, wydłużanie postaci, twarzy, rak, stałe używanie nieosobowych profilów, przerafinowanie i wystylizowanie póż; pewna „preziosité“, finezja i arystokratyzm jego sankiulotów

(ludzie jego mają w sobie coś z wiecznych wędrowców, rybałtów, piosenkarzy, są sługami spraw ducha i niepoznawalności: Mandolinista, Arlekin, Kabalarka, Rybak i t. d.), powtarzająca się scenerja kompozycji, groziły mu wywołaniem wrażenia pozy, przesady, pogoni za stylowością i monotonią.

Tymczasem żadne z tych wykoszlawień nie ciąży nad jego dziełami.

Władza prostotą. Czujemy się wśród jego obrazów, jak na jasnej łące, do której artysta doszedł przez góry.

Sztuka jego ma w sobie coś schyłkowego, jak sztuka Antoniego Watteau. Jest w niej smutek i uśmiech przedśmiertnego pożegnania w jesienny złoty dzień. Jest cichnąca melodia kończącej się się pieśni; jest jakby niemożność życia rozmachem, krwią i mięśniami. Jest rezygnacja i ucieczka w świat własnego państwa wizji, od którego drzwi zamknięte są dla wszelkiej aktualności.

Nic z bojowości, ani wezwania, rzuconego „wszystkim“. Niema wczoraj, ani jutra, — jest trwanie.

Jest niemożliwość walki. Jest pewna niedzisiejszość.

Zak wziął w siebie mądrość i wykwiłt Leonarda. Po tej linii dalej się nie pójdzie.

I dobrze by było, aby nikt go nie naśladował. W sztuce jego jest jakiś koniec.

Może przez kontrast z dzisiejszym światem huraganu i ognia Zak stał się takim cichym prostaczkiem, żyjącym w intymnym obcowaniu z tem, co niezmiennie i w duszy ludzkiej stałe, lecz ukryte.

Z tego, co piszą o nim Niemcy, wygląda na bohatera Dickensowskich opowieści.

W malarstwie europejskiem stoi odrębny i odcina się od jego tła. Może być zrozumiany przez wszystkich, gdyż sztuka jego zawiera w sobie pierwiastki ogólnoludzkie, których nie zaciemniają cechy narodowości, ani epoki. Jest mową duszy, która nie zna języka narodów.

Ludzie jego stoją poza historją. Żadnych znamion etnograficznych, ani chronologicznych nie posiadają. Weźmy choćby ich stroje, lub gesty. Pozy ich są prawie równie „wieczne“, jak u figur Leonarda, czy Michała Anioła. Obrał ich Zak ze wszystkiego, co zbędne, nieważne, z balastu realistycznych szczegółików, że wspomnę choćby „Teatr marjonek“, w którym osiąga prostą wyrazistość i zwięzłość.

Sztuka jego jest wolna, jest tylko sobą, przez barwy i linje daje stany i nastroje („Odpoczynek“ - „Wiara“ - „Zebrak“ - „Arlekin“).

Widziane pojedynczo, obrazy Zaka nie całkowicie o nim mówią. Dopiero ich zespół wytwarza ową atmosferę niezwykłą, z której płynie sugestia, naprowadzająca na właściwe odczuwanie artysty.

I dlatego (pomimo że niepełna i zdaniem W. Husarskiego<sup>2)</sup> źle zestawiona) wystawa u Garlińskiego mogła powiedzieć kim był ten wielkiej miary, a tak młodo zmarły, artysta polski.

N. Samotyhowa.

<sup>2)</sup> Patrz artykuł W. Husarskiego: „Eugenjusz Zak“. Wiadomości Literackie Nr. 16.

Tamże czytelnik znajdzie analizę ewolucji artystycznej Zaka.



## WSPOMNIENIE POŚWIĘCONE Ś. P. MARJI MASZKOWSKIEJ

„Ten tylko bowiem lud upada w cienie —  
Który sam sobie nie dochował wiary,  
Temu, co stracił sztandaru widzenie  
Na nic — sztandary!”

*M. Konopnicka.*

W Nicei dn. 14-go listopada ub. roku zmarła wielka entuzjastka czynu, ś. p. Marja Maszkowska. Najpiękniejszym dziełem jej życia była pensja w Skolimowie, zakład wychowawczy dla dziewcząt — przedwcześnie przez wojnę zniszczony. Gdy urodzeni w niewoli przestawaliśmy odczuwać zatrute powietrze, gdy oddawaliśmy dusze nasze w jarzmo sybarytyzmu, lub rozkładowego zwątpienia, a co najgorsze zatracaliśmy poczucie odpowiedzialności za własną historję — każda jednostka, niosąca głęboki protest przeciw zatraceniu — była źródłem niezniszczalnym i kolumną dzisiejszej niepodległości. Do tych wybranych, którzy nam ducha narodu, jego ogień wieczysty i wolę życia samodzielnego przechowywali — należała ś. p. Marja Maszkowska. Budziła ona wolę życia i czynu w najbliższym swem otoczeniu. Sama wątłego zdrowia żyła wiarą, iż los naszego narodu jest każdemu z nas powierzony. Szczęście osobiste ściśle z zamierzeniami swemi splotła. W mężu swoim znajduje niepospolitego przyjaciela, współtwórcę i całą duszą oddanego marzeniom pracownika.

Doktorostwo Maszkowscy, to ludzie fizycznie słabi, (ona schorowana, doktor w podeszłym wieku); ale oboje nie znoszą apatii, przynębiaenia i niewoli. To ludzie wiecznie w sobie młodzi.

Ich wolą, jej entuzjazmem i wiarą powstaje pensja w Skolimowie. Ś. p. Marja Maszkowska zapoznaje się przedtem z zakładami tego typu — na wsi w Szwajcarii, interesuje się szkołami angielskimi.

Pensja w Skolimowie, to maleńki zakład przeznaczony na dwadzieścia kilka uczennic. Rozrasta się ze ścian ich własnego domu, z wewnętrznej potrzeby odrodzenia i ożywienia zgorzkniałych i wędzących źródeł naszego życia. Środki materialne skromne: kilka tysięcy zaoszczędzonego grosza i niewielka emerytura, to wszystko. Żadnych zasiłków, pomocy ze strony społeczeństwa, jedynie wiara we własne siły i mozolne poszukiwanie ludzi.

Stale widnieje przed nią jeden cel — wychowanie ludzi wolnych w duchu — przeciw niewoli i ciemniństwu.

Sami mają odwagę nowe życie zaczynać, poszerzają dosłownie ściany swego domostwa, dach podnoszą. Wszystkie trudności są do przewyciężenia, śmiałe pomysły z jej natchnienia są technicznie przez samego doktora zaprojektowane i w czyn wprowadzone, a zawsze zespolone z nieodzownym pięknem. Niby ubogo, a wytwornie.

Wszystko się wiąże z kulturą ducha i jego posłannictwem przez Ojczyznę.

Każdy dzień najprostszymi, codziennymi jest przeświełtłony świadomością dążeniem ku lepszej przyszłości. Metody wychowania tak proste: oparte na zaufaniu, iż dobro, piękno i szlachetność rozwijać się muszą w otoczeniu wzajemnej życzliwości, w zespoleniu codziennym z ludźmi nieraz dużych wartości umysłowych, czy też charakterów, w swobodzie ruchów i wypowiedzeń.

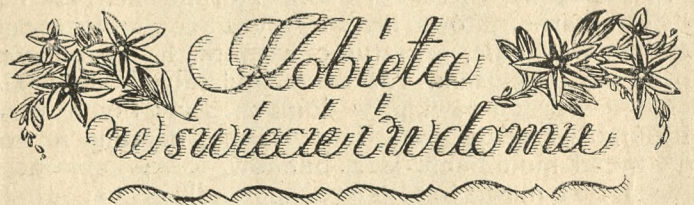
Oczywiście nie wszystkie trudności mogły być w tak krótkim czasie pokonane.

Zakład bowiem istniał zaledwie lat [kilka, ale nie było człowieka, który zetknąwszy się z duchem szkoły, nie był choć w części wyzwolony z przynębiaenia, jakie wówczas kładło na nas życie.

Ostatnie lata ś. p. Marji Maszkowskiej były czasem rozpaczliwie ciężkie; oboje, w latach spadku waluty, zawierając państwu resztkę swego mienia, stracili na tem prawie wszystko. Do ostatniej chwili pomimo gasnącego życia nie traciła energii duchowej i wiary, że dusza Polski w całej krasie i potędze się rozwinię, żeśmy nie przyłożyli tylko dość silnego młota i dźwigni, żeby skarby nasze wydobyć. Była do końca entuzjastką życia i czynu, spragniona zawsze najpiękniejszych jego przejawów. Przejęta nadzieją służenia jeszcze Ojczyźnie myślą — wyjeżdża do Nicei, spieniężywszy w tym celu ukochany swój fortepian, który stał się bezużytecznym z powodu ciężkich warunków mieszkaniowych i braku jej zdrowia. Zamienia go na trochę ciepła, słońca i spojrzenie w niebo pogodnego Zachodu na kilka tygodni przed śmiercią, ale duch panuje wszędzie...

Cześć i hołd tym gorącym duchom, które z wiarą i zapałem część zadań wychowawczych biorą wyłącznie na własne barki, budują mocne fundamenta całego narodu w nieskończoność ludzkości i nie licząc się z ryzykiem — idą zawsze naprzód!

*Zofja Poniatowska.*



### SUŁTANKA INDYJSKA — STUDENTKĄ.

Sułtanka Bhopalu została przyjętą jako studentka do Liceum Nauk Społecznych i Ekonomicznych w Londynie. Jest to jedyna kobieta panująca w Indjach. Bhopal jest państwem autonomicznym; obecna sułtanka objęła w nim rządy w r. 1901. Panowanie jej zaznaczyło się wielką łagodnością i wprowadzeniem całego szeregu dobroczynnych reform i zarządzeń. Sułtanka interesuje się przede wszystkim sprawami szkolnictwa i higieny, pracuje także gorliwie nad poprawą warunków bytu kobiet indyjskich. Pobudowała ona z własnych funduszy liczne szpitale i kliniki położnicze, dawniej absolutnie nieznanne w Indjach. Obecnym celem jej jest wprowadzenie w szkołach dla dziewcząt nauki gospodarstwa domowego, opartej na nowych zasadach oszczędności pracy. W tym celu sułtanka postanowiła ukończyć kurs szkoły nauk społecznych i ekonomicznych w Londynie, aby następnie otworzyć w swym kraju podobny zakład, który będzie miał za zadanie przygotowywać instruktorki nauk gospodarczych dla wszystkich szkół kobiecych w Bhopalu. Do zakładu tego zaangażowała już sułtanka personel nauczycielski z pomiędzy profesorek angielskich.

### CIĘKAWY ODKRYCIA ARCHEOLOGICZNE.

Czytany w „Le Droit des Femmes” opis wystawy w paryskim Muzeum Sztuk Dekoracyjnych, na której znajdowały się bardzo ciekawe rysunki starych grobowców tebańskich, wystawione przez



młoda uczoną i podróżniczkę francuską, pannę Marcele Baud. Panna Baud jest członkiem Instytutu Francuskiego w Kairze i zajmuje się tam studjami archeologicznymi, pozatem ukończyła szkołę sztuk pięknych i jest utalentowaną rysowniczką. Podczas badań archeologicznych udało się p. Baud natrafić na grobowce z epoki niezmiernie dalekiej, bo z okresu 18—26 dynastji tebańskiej, a więc mniej więcej datującego się na jakieś 15—16 wieków przed Chrystusem. Reprodukcje fresków, znalezionych w tych grobowcach, wzbudziły wielkie zainteresowanie w świecie naukowym.

### LIGA OBRONY MORALNOŚCI W AMERYCE.

Ekscesy mody amerykańskiej wywołały wreszcie ostrą reakcję części społeczeństwa, która zawiązuje w poszczególnych miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych „Ligi Obrony Moralności”. Amerykanie okazują iście drakońską stanowczość i energję w zwalczaniu wszelkich przejawów niemoralności, posuwając się do zarządzeń tak despotycznych, o jakich my tu w Europie nie mamy nawet pojęcia. I tak np. w stanie Tonnoosoo zabronione są surowo wszelkie przedstawienia teatralne i kinematograficzne, zawierające jakiegokolwiek sceny, lub wyrażenia niemoralne, zamknięto pozatem wszystkie dancingi i miejsca zabaw publicznych, a na zebraniach prywatnych zabroniono tańczyć tańce nowoczesne. Ponieważ rozporządzenia te nie były odrazu należycie przestrzegane, członkowie Ligi Moralności, t. zw. oddziały karne, które przebiegały ulice stołecznego miasta Nashville, aresztując wszystkich niepoddających się przepisom. Toż samo oddziały dokonywały całego szeregu rewizji w domach prywatnych, konfiskując wszędzie gramofony i płyty, nagrane nowoczesnymi melodjami jazz bandów, oraz zabierając kosmetyki niewieście, jak róż, pomadki do ust, ołówki do brwi itd. (Ze wszystkich kosmetyków jeden tylko puder, jako niezbędny dla higieny, uzyskał prawa obywatelskie). Wszystkim młodym panienkom w stanie Tonnoosoo zabroniono surowo przechadzać się po ulicach w towarzystwie młodych mężczyzn.

### SEKRET ZACHOWANIA MŁODOŚCI.

Słynna śpiewaczka włoska, Amelita Galli-Curei, odbywa obecnie tournée po Stanach Zjednoczonych, nietylko czarując wszystkich swym głosem, lecz i wzbudzając zazdrość ogólną swym świeżym i młodym wyglądem pomimo wieku dość już podeszłego. Jednemu z dziennikarzy, który usiłował wybać primadonnę, na czem polega sekret jej młodości, dała ona następującą odpowiedź:

„Kładę się spać możliwie najwcześniej, zaraz po zakończeniu występu teatralnego, i nie pozwalam sobie nigdy na żadne długie kolacje wieczorowe, przesiadywanie w lokalach dusznych i zadymionych, w atmosferze niezdrowej i podnieconej. Wstaję również wcześniej i w godzinach, kiedy większość moich koleżanek na obydwu półkulach ziemi spoczywa jeszcze snem błogim, ja odbywam sobie pieszą przechadzkę po ogrodzie, bez względu na porę roku i stan pogody. Unikam wszelkich podnięt i przyjemności, którym tak chętnie hołdują artyści. Nie palę papierosów, nie używam żadnych napojów alkoholowych i t. d. Odżywiam się najchętniej jarzynami i nabiałem, a mięso jadam bardzo rzadko. Wreszcie — i to uważam za najważniejszy warunek — spędzam

cztery miesiące w roku na wsi, gdzie sama zajmuję się gospodarstwem domowym. Proszę mi wierzyć — dodała primadonna z czarującym uśmiechem — że nic na świecie nie oddziałuje tak dodatnio na nerwy, a więc i na zachowanie młodości, jak oderwanie się chociażby na czas krótki całkowicie od towarzystwa ludzi, a przebywanie stale w otoczeniu kur, kaczek, krów i nierogacizny.“

Z. B.



TEATR POLSKI:

„Król Dagobert” komedia w 4 aktach André Rivoire’a.

„Król Dagobert” Rivoire’a jest nieodrodnym dzieckiem Rostandowskiego „Cyrana”. Ten sam płynny i dźwięczny wiersz, ten sam patos, ba, nawet ludzie tacy sami, chociaż parę dobrych wieków dzieli towarzyszy Cyrana od dworaków Dagoberta. Barwne stroje, kwieciste porównania, tyrały skrzące się do cimpem, sentyment, graniczący z okliwnością, a wszystko ujęte w ramy umiaru i znajomości teatru, oto cechy charakterystyczne tych utworów.

Dalekie od poezji, są one poetyzowaniem na temat dawnych czasów i dawnych ludzi (którzy podobno byli lepsi i szlachetniejsi od nas oczywiście), a przeto miłe sercom, znużonym teraźniejszością. Te komedje romantyczne cieszyły się swego czasu ogromnym powodzeniem we Francji, zwłaszcza gdy bohaterem była postać dobrze znana. Jak król Dagobert naprzykład. Wolno nie wiedzieć, że pochodził z dynastji Merowingów, że żył w VII wieku, że kazał wymordować kilka tysięcy jakichś bułgarów, ale któż nie wie, że był dobry, aczkolwiek srogi, że przeżył pięć żon i nosił spodnie na wywrót.

Opiewa to piosenka, którą zna każde dziecko francuskie. Stąd popularność tego króla, nie dbającego o powagę majestatu, zaniedbanego w odzieży, ale milego sercu ludu.

Rivoire przedstawia nam króla w charakterystycznym dla niego stroju..., zajęty polowaniem zapomniał, że właśnie dziś ma się odbyć jego ślub z córką sąsiedniego monarchy; panują tam obyczaje zgoła inne, niż na dworze Dagoberta, to też Księżniczka, przyjrawszy się bliżej swemu oblubieńcowi, zdradza ochotę powrotu pod dach ojcowski. Otoczenie sprzeciwia się temu i podobny afront byłby dostatecznym powodem do wojny.

Niema jednak sytuacji bez wyjścia i tu mądry kanclerz znajdzie radę... Król jest zmienny, kochać długo nie potrafi; po jakimś czasie sprykrzy mu się każda kobieta. Otóż na te kilka nocy (bo o noc chodzi) sprowadzi mu się jaką młodą dziewczynę, a gdy król się zniechęci, królowa wróci do ojca. Pomysł nieco ryzykowny, ale gdzieś mógłby mieć widoki powodzenia, jak nie na dworze królewskim, gdzie na zawołanie znajduje się wróżka i młoda służebnica, oddawna zakochana w królu. Słodka Nantylida przykuwa jednak króla silniej, niż leżało to w planach dworaków. Królowa zaczyna być zazdrosna. Nie kocha Dagoberta, ale nie ścierpi, żeby jej prawowity małżonek śnił o pocałunkach i pieszczotach innej kobiety.

Tajemnica, ukrywana starannie, ciąży wszystkim. Wreszcie pewnego dnia król dowiaduje się prawdy. I wpada w straszny gniew. Słusznie: wolno nie szanować majestatu jemu, Królowi, ale nie innym. Na dworze nastaje sądny dzień. Królowa odesłana do ojca, kanclerz zdegradowany, Nantylida skazana na śmierć.

Ale ponieważ król Dagobert był nietylko surowy, ale i dobry, więc cofnął swoje wyroki: kanclerz będzie po dawnemu rządził królem, a skronie Nantylidy ozdobi korona.

Miła ta komedja znalazła doskonałych wykonawców w artystach teatru Polskiego. Panie Malicka i Modrzewska — Nantylida i królowa, dały postaciom bardzo ładnie zarysowane. Pierwsza uosobienie tliwłości i słodyczy, druga nieomal czarny charakter. Pan Boelke, jako król Dagobert, bez zarzutu. Prawdziwą jednak rozkosz sprawił nam Stanisławski w roli kanclerza, zbierał też liczne oklaski przy otwartej scenie.

Przekład p. Kleszczyńskiego oddaje wszystkie walory oryginału.

Z. P.



*Kody i roboty*



NR. 509.

NR. 510.

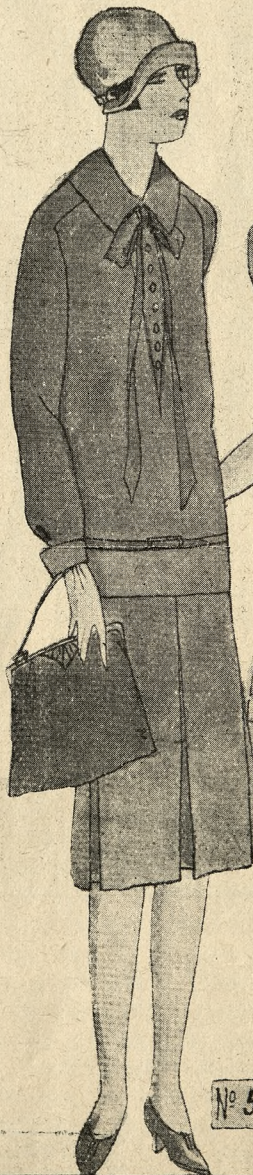
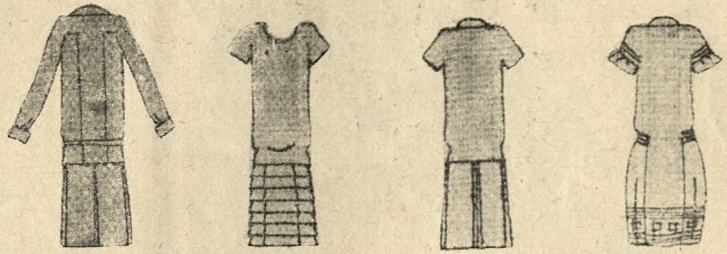
NR. 511.

NR. 512.

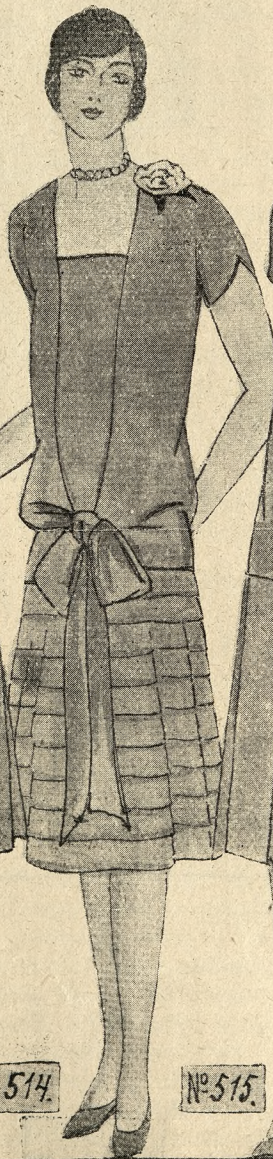




513.



Nº 514.



Nº 515.

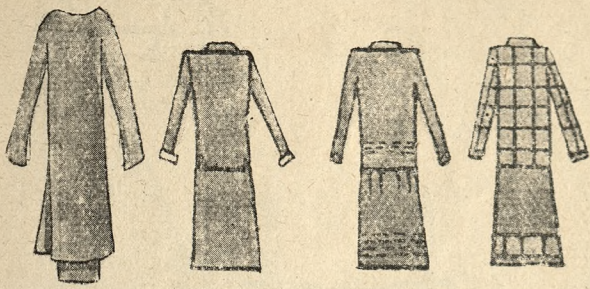


Nº 516.



Nº 517.

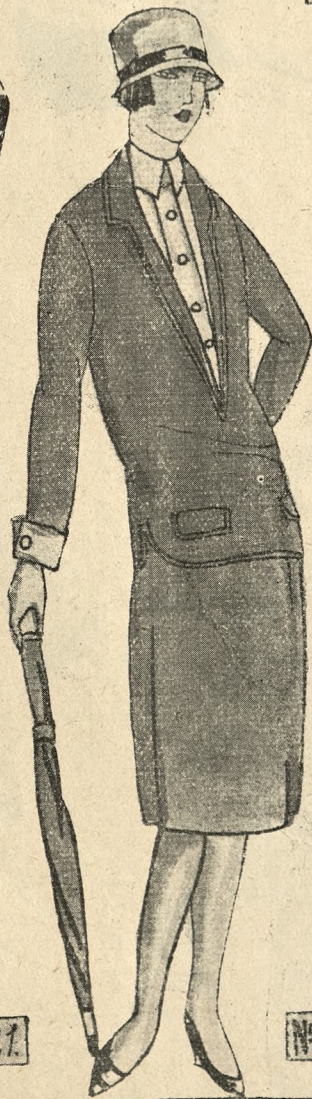




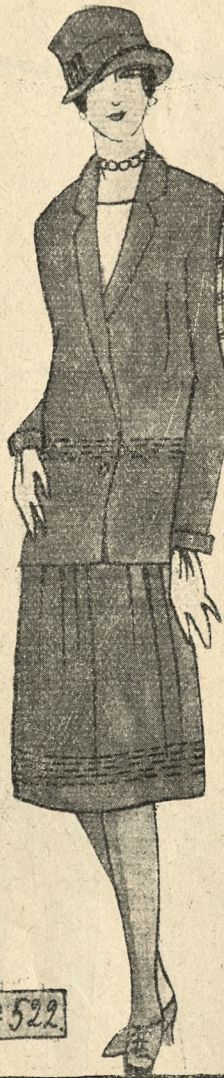
№ 518. № 519.



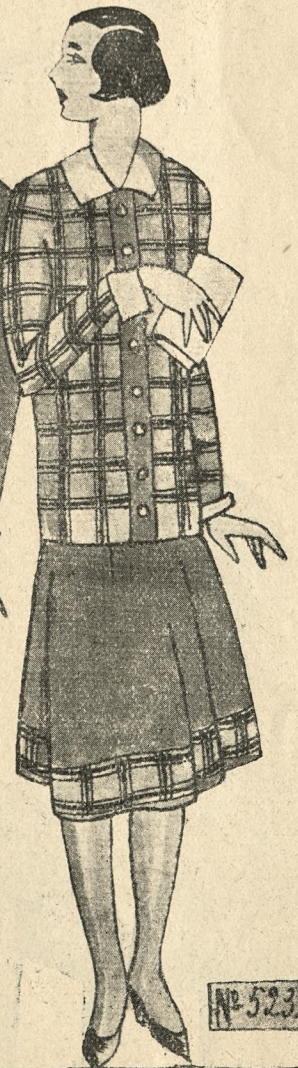
№ 520.



№ 521.

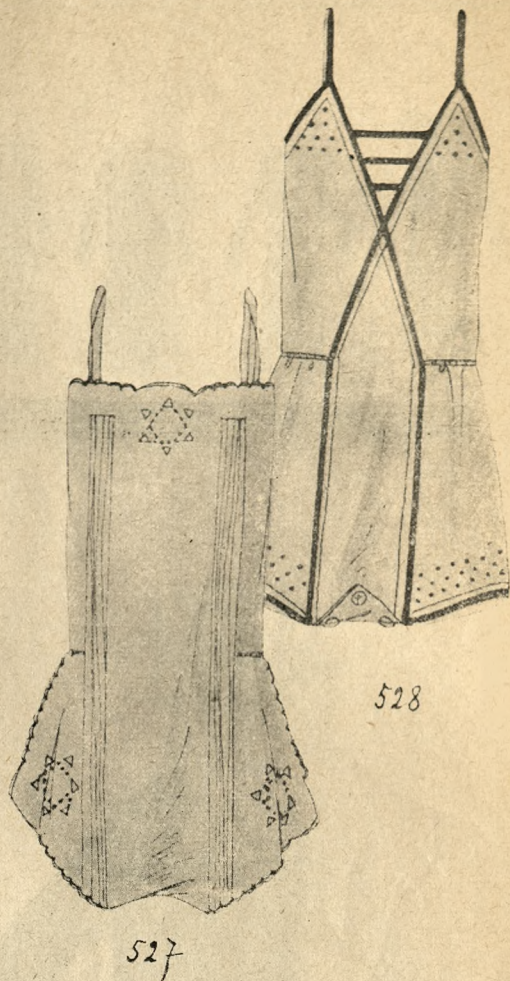


№ 522.



№ 523.





532





533.

- |                   |                   |            |
|-------------------|-------------------|------------|
| 1. czerwony       | 7. rudy           | 10. czarny |
| 2. popieleaty     | 8. zielony ciemny | 11. żółty  |
| 3. piaskowy       | 9. granatowy      | 12. biały  |
| 4. ceglasty       |                   |            |
| 5. brązowy ciemny |                   |            |
| 6. kremowy        |                   |            |







## MODNE PODUSZKI



Tak bardzo dziś modne są poduszki, że robi się je ze wszystkiego co mamy pod ręką, nadaje fasony fantazyjne i rozkłada wszędzie. Im więcej poduszek tem modniejsze, a tem samem ładniejsze urządzenie. Nie potrzeba silić się na kosztowne, lub pracowite roboty—poduszka gustownie zrobiona z kawałków pozostałych sukna, aksamitu, lub wstążek, nawet z odświeżonej materji ze starej sukni—byle pomysłowa, kolory ładnie dobrane i wykończenie zręczne, ładnie dopełni całość naszych saloników.



## KAPELUSZE

A więc tak, jak przepowiadałam, lato przyniosło supremację dużego kapelusza nad małym. Oczywiście, do okrycia podróżnego, kostjumu tailleur, sportowej sukienki z jumper'em nosi się jeszcze małe foremki, ale strojna letnia suknia stanowczo wymaga dużego, cienistego kapelusza. Najpopularniejsze są pasterki, lekko podniesione z przodu, opuszczone z boków i podwinięte z tyłu. Podwinięte rondo przypina się do główki pękiem kwiatów. Modne są kwiaty zarówno stylizowane, jak i realistyczne. Pęk wisien jest też ładnym przybraniem pasterki z kremowej słomki. Wstążki używa się rypsowej (gros grain), lub też szerokiej aksamitki. Aksamitka bywa nieraz wiązana pod brodą, jak na portretach pięknych dam z osiemnastego wieku. Modne są również budki, podobne do słynnych „chapeaux cabriolets” z epoki dyrektorjatu, ale nie wszystkim w nich do twarzy. Najładniejsze są pasterki z włoskiej słomki ażurowej, zdają się tworzyć koło twarzy fantastyczną aureolę. Obok zwykłych, fabrycznych, słomkowych fasonów widzimy dużo modeli obciągniętych materiałem słomkowym. Jest to tkanina niezmiernie połyskliwa, znana na naszym rynku już od lat paru. W tym sezonie wyrób ten spotyka się w ogromnej ilości odmian. Materiał we wszystkich możliwych kolorach i deseniach. Niektóre kombinacje bywają bardzo szczęśliwe (np. szerokie pasy popielate i granatowe), niektóre mniej. Najładniejszy dla mnie jest materiał słomkowy gładki, czarny bardzo błyszczący; robi niezmiernie do twarzy.

Do czarnego jedwabnego płaszcza, niewielki, fantazyjnie wygięty kapelusik z czarnego słomkowego materiału jest niezastąpiony. Pęk puszystych crossów jest najładniejszym przybraniem, w braku takowych, rondo załamane w sterzące końce powinno samo starczyć za przybranie. Można okantować słomką matową.

Obciąga się również letnie fasoniki taftą, lub georgette'ą, przeważnie koloru sukni. Tafta nadaje się szczególnie na chapeaux cabriolets. Przy kapeluszach z georgette'y robi się główki pokryte do połowy, albo nawet całe z płatków kwiatowych, jest to bardzo ładne. W niektórych małych fasonikach, prawie bez ronda, główka zdaje się pęknięta i to pęknięcie wypełniają jedwabne płatki kwiatowe do cieniu, również pomysł oryginalny i szczęśliwy, o ile jest wykonany przez bardzo dobrą modystkę. Sliczna jest całość składająca się z jednakowych: kapelusza, parasoleczki i torebki, oczywiście należy to do dużych zbytków. Jest również tendencja dobiera-



nia koloru kapelusza do koloru rękawiczek i obuwia, daje się to stosować raczej przy ensemble'ach na ulicy i kapeluszach niewielkich o charakterze sportowym. Materiałem bardzo używanym w tym roku na kapelusze jest także wstążka rypsowa i gros grain, różnej szerokości, począwszy od wąziutkiej, którą się łączy ze słomką świecąca, szyjąc z niej jak gdyby materiały w paski. Ze wstążeczki szerokiej na dwa palce układa się rondo, lub główkę w promieniu z jednego, lub paru kolorów, wreszcie ze wstążki szerokiej robi się całe kapelusze z rondami układanymi miękko z samej wstążki. Cechą charakterystyczną wszystkich tegosezonowych kapeluszy jest wgłębienie główki tworzące jak gdyby kontrafałdę (kapelusze zeszłoroczne cechował do znudzenia wypukły grzbiecik, idący przez środek główki od przodu ku tyłowi). W tym sezonie wszystkie bez wyjątku kapelusze, zarówno duże, jak małe zdobi owa wyżej wspomniana kontrafałda. Po niej przekona się najzłośliwsza przyjaciółka, że kapelusz jest autentycznym tegorocznym modelem, a nie odlakierowaną słomą z zeszłego lata. Vanitas vanitatum! Dla osób bardzo młodych (pojęcie to staje się coraz bardziej względne) modne są berety szydełkowe z jedwabiu. Nadają się one specjalnie do plisowanych spódniczek z jumperami, do kostjumów o charakterze sportowym, szczególnie odpowiednie nad morzem. Mają tę wielką zaletę, że są bardzo lekkie i ażurowe, więc zupełnie nie grzeją głowy. Zaleta podczas upałów nieoceniona.

Narówni z beretami noszone są także czapeczki robione szydełkiem z jedwabiu, małe, przylegające do głowy z niewielkim odwinięciem rondkiem, ładne i bardzo praktyczne. Robi się je przeważnie wrabiając w każdy rząd niezbyt gruby, kręty sznurerek, dzięki czemu tworzą się wypukłe zagonki. Nowością sezonu są kapelusze z rafji, robione szydełkiem i przybrane barwnym wypukłym haftem, wykonanym także rafja. Główkę robi się od środka, nadając jej fason podług główki od jakiegoś kapelusza, rondko może być zrobione razem, lub oddzielnie i połączone z główką. Najpraktyczniejszy jest taki kapelusz koloru naturalnego, gdyż rafja farbowana niestety bardzo szybko pełźnie. Kapelusze z rafji mogą też być ażurowe i podbite barwną materją.

Woalki niestety nie są modne, a szkoda, były takie tajemnicze, twarzowe. Miejmy nadzieję, że znajdzie się znów jakaś modna piękność, która się zdecyduje ogłowi tę ładną modę narzucić. Well.



## FETYSZ PARYSKI

Co jest bożyszczem dzisiejszego Paryża? około czego krążą, jak planety wokół słońca myśli i pragnienia wszystkich, od najuboższego wyrobnika do króla giełdy? co jest najbardziej poszukiwane na bulwarach, w kawiarniach, w „metrze“?

Bez wątpienia fetysz.

Na tem wielkiem targowisku świata, gdzie wszystko jest do nabycia, wszystko ma swoją „hausse“ i „baisse“, i gdzie o powodzeniu towaru decyduje nietyle jego dobroć, ile kaprys mody, a o losie człowieka nie jego talent, zasługa, ale najczęściej przypadek, lub przysłowiowy łut szczęścia, musiała się rozwinąć podświadoma wiara w moc magiczną sił tajemnych, wcielonych w przedmioty martwe.

Dysk cywilizacji, rzucony w przestrzeń, zawraca od zenitu odrazu w mroki barbarzyństwa. Współczesny Paryżanin, korzystający swobodnie z usług najnowszych wynalazków, jest w istocie rzeczy kruchą bańką na rwącej fali bulwarów, bańką, która w każdej chwili może ulec rozbiciu na rafach szalejącej konkurencji, albo osiąść na ruchomych piaskach wiekiusia zmiennego kursu funta. W bagnistych puszczech, otaczających mury prastarej Lutecji, nad zbłąkanym podróżnym czuwała patronka miasta, święta Genowefa. Na wypolerowanych milionami pneumatyk lustrach asfaltu ślizgający się żongler własnej doli chętnie powierza swój los i bezpieczeństwo demonowi opiekuńczemu, zaklętemu w laleczkę, niedźwiadka, potworka, djabełka, słońca, psa, kota, guzik, co ja wiem jeszcze!

Do jakiego stopnia rozpowszechniona jest żądza fetyszów świadczy choćby drobny fakt, jaki się zdarzył parę miesięcy temu w byłym pałacu Rotszilda, na balu, wydanym przez jeden z komisarjatów wystawy wszechświatowej. Ni mniej ni więcej, tylko we wzorowo zorganizowanej szatni poodkręcano kilku osobom kościane gałki od parasoli. W jakim celu? Praca była zmusna, bo gałeczki były umocowane na śrubach. Niewątpliwie chodziło o zdobycie niezwykłych amuletów.

Przyznać należy, że nawet w paryskich stosunkach był to wypadek wyjątkowy. Naogół pomysłowość czcicieli fetysza chodzi bardziej legalnemi drogami, choć naogół nie zawsze jest to linja najmniejszego oporu. Do pospolitego ruszenia w służbie wszechpotężnego „porte-bonheur“ zmobilizowano nawet całą armję chimer z Nôtre-Dame. Strzegły przecież tak długo, wiernie i skutecznie odwiecznego tumu od żywiołowych klęsk i ludzkiej zaborczości, że chyba i zwykłego śmiertelnika ochronią od nieszczęścia. Niewiadomo, co w dziedzinie amuletu przyniesie mgliste jutro, to jutro paryskie, wschodzące rankiem leniwie z błękitnawych oparów Sekwany, a wieczorem spalające się fajerwerkiem gwiazd na podwójnym firmamencie nieba i bulwarów. Jedno jest pewnem, że i na tem, jak na wszystkich zresztą polach paryskiego życia, panować będzie kobieta. Kobieta pomniejszona, a jednak skondensowana, podniesiona do najwyższej potęgi, wyeliminowana z przypadkowości, królowa świecidełek, szmatek i szychu, z wrośniętym w usta uśmiechem, stygmatem bezmyślnej pogody, kobieta bezduszna, a jednak pozbawiona ciała, wiekiusia dziecko z instynktami dojrzałej hetery, istota, która od stóp do głów jest jednym żywym gałgankiem, — poprostu lalka.

Mówią, że rasy przeżyte, wyrafinowane, schyłkowe, zbawienie swe, cel i rację bytu upatrują w kobiecie. Ona, ta wiekiusia szafarka łask i krzywdy,

bólu, grzechu, rozkoszy i zapomnienia, staje się amuletem niezawodnym, ba, nawet przynosząc nieszczęście, ocala człowieka od największej nędzy współczesności, od szarżyny życia. Podświadomie zdaje sobie z tego sprawę francuz dzisiejszy, ten człowiek mocno stojący, pomimo wszystko, na gruncie rzeczywistości. I dlatego podczas wojny nie było okopu bez lalki, towarzyski samotnego żołnierza, tak jak dziś niema mieszkania bez czarno białego pierrota i złotej bajadery, niema auta bez wywijającego w tylnem okienku pająkowatemi nóżkami djabełka, gнома, lub innej pokraki.

Wrodzony pociąg instynktu francuskiego do amuletu, zaklętego w postać kobiety — lalki, w przedziwny sposób wykorzystał genjusz słowiański, pchnąwszy podświadomy prąd magicznego myślenia na tory świadomej twórczości artystycznej. Jak zwykle w sprawach raptownych zwrotów i zmian kierunków w sztuce, w dziedzinie poczęcia nowych stylów, i tu zadecydował przypadek. Tym razem wielki i wstrząsający do głębi globem ziemskim. Wojna. Paryż, ta olbrzymia wytwórnia rozkoszy estetycznych, począwszy od szpilki i tasiemeczki, kończąc na wiecznie żywych mauzoleach Luwru i Luksemburga, Paryż — to serce globu, bijące szybciej od wszystkich jego pulsów, raptem zahamowane w dopływie krwi. Arterjoskleroza? — Nie, to tylko widmo głodu zajrzało w oczy zarówno pracowitym mrówkom wielkich domów handlowych, jak konikom polnym, cykającym swą artystyczną piosenkę po przewiewnych pracowniach Montmartre'u i Montparnasse'u.

Bez nowego kapelusza, sukni, bucików nie obejdzie się wykwintnisia paryska, nawet wtedy, gdy aeroplany pruskie szerzą śmierć nad miastem. Ale któż kupi obrazek, sztych, statuetkę? Gdzie podzieje się sztuka monumentalna? Do okopów! obywatela artyści! Miał pędzla bagnet w ręce; nie dłużej w marmurze, ale pociskiem armatnim kuj pierś wroga! Poszli na wołanie własnej i przybranej ojczyzny. Ale zostało wielu — bezbronni i bezrobotni. I wówczas w gęstniejących nad Polonią paryską mrokach rodzi się myśl, jak błyskawica: stworzyć coś, co by było dla żołnierza upominkiem miłszym od ciepłej koszulki, a trwalszym, niż papierosy i czekolada, coś, co by mu dawało w okopach złudzenie domu, w samotni iluzję kochanki.

Tak powstała lalka szmaciana, której pierwotny wzór widzieliśmy nieraz w rękach chłopskiego dziecka na przyźbie mazurskiej chałupy, a której dalekie echo możemy odnaleźć łatwo w niezliczonych koncepcjach artystów naszych nad Sekwaną. Zaludniły się opustoszałe pracownie wesołym ludkiem pstrych gałganków. Rozpoczął się jedyny pod słońcem exodus: wymarsz lalek do okopów. Najmilszy dar z rąk matki, żony, narzeczonej, kochanki. Laleczka — maskota. Czasem tak drobna, że schować ją było można w kieszonce na piersiach i wówczas zdawało się, że w swoje watowane łono opiekuńcza istotka przyjmowała kulę, przeznaczoną dla żołnierza, — to znów rosła i strojna, jak wielka dama, którą sadzało się w ziemlance, brało się do tanku, albo na aeroplan, aby wiecznie czuwającymi oczami bez powiek patrzyła na śmierć i zniszczenie — bez mrugnięcia i strzegła swego pana we wszelkiej przygodzie.

Potęzną była wiara w moc fetysza. Pani Nina Aleksandrowicz, utalentowana malarka, twórczyni pierwszych lalek szmacianych, dobrze pamięta tego



lotnika, co zamówił u niej lalkę specjalnie przeznaczoną do aeroplanu.

Podczas jednego ze wzlotów latawiec uległ katastrofie i spalił się doszczętnie. Ocalał pilot i jego wierna towarzysząca — mascotta. Zwęgliła się tylko sukienka na lalcze. Pierwszą troską wojaka było przyzwać swą opiekunkę. Pomknął więc do Paryża, do tej samej pracowni, w której nabył lalkę i nie ruszył z miejsca, dopóki nie zrobiono jej identycznie takiej samej sukni, jaką miała przed katastrofą. Nikogo nie dziwił na ulicach Paryża widok młodego lotnika z ogromną dziwną lalką pod



pachą. Musiała go nieraz ocalić od śmierci, skoro nie chciał się z nią rozstać, — mówiono, z tem poszanowaniem dla wszystkich kultów, jakie właściwe jest tylko francuzom. Jako urodzeni sceptycy, wątpią oni bowiem o wszystkich dogmatach, a wierzą we wszelkie możliwości i tem górują nad uczuciowym fanatyzmem południowców, nad intelektualistycznym doktrynerstwem germanów i anglosasów. I dlatego na glebie paryskiej, użyżnianej rękami wszystkich ras i wszystkich cywilizacji, tak bujnie mógł zakiełkować i rozrosnąć się kult fetysza.

Stefanja Podhorska-Okolów

## POLSKA WSPÓŁCZESNA!

### CO KAŻDA POLKA O SWOIM KRAJU WIEDZIEĆ POWINNA.

Większość naszych czytelniczek ukończyła szkoły zaborcze, gdzie nauka o kraju rodzinnym była traktowana po macoszemu, albo wcale uwzględniana nie była. Zresztą, z przywróceniem niepodległości warunki tak się zmieniły, że nawet ta, która dobrze poznała „naukę o ziemiach polskich”, słabo się będzie orjentować w stosunkach obecnych, w „nauce o współczesnym państwie Polskim”.

A przecież znajomość warunków w jakich żyjemy potrzebna jest każdemu Polakowi i każdej Polce. Na niej dopiero mogą się opierać nasze poglądy na potrzeby Polski i na jej przyszłość, ona kształtować będzie nasze przekonania społeczne.

A nawet w życiu domowym? Nierzadko syn, lub córka, przejęci doniosłością wykładanej im w szkole „Nauki o Polsce współczesnej”, zapagną na ten ciekawy temat porozmawiać z matką.

Aby więc umożliwić naszym czytelniczkom uzupełnienie wiadomości niezbędnych każdemu obywatelowi państwa Polskiego, rozpoczynamy cykl artykułów p. t.: „Pogadanki o Polsce współczesnej”.

Wiadomości podawane w powyższym dziale dopomogą pozatem czytelniczkom „Bluszczu” w wygłaszaniu odczytów o Polsce współczesnej — którym powinny kobiety polskie zainteresować najszerszy ogół obywateli kraju.

W artykułach tych podamy najważniejsze wiadomości o położeniu Polski, o jej ludności, o prawach obowiązujących w naszym kraju, a także o bogactwach naturalnych i o polskim gospodarstwie narodowym.

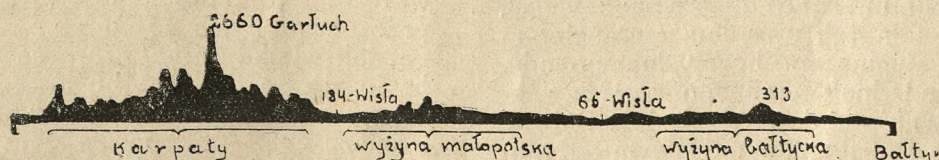
### I. POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE POLSKI

Ziemie Rzeczypospolitej Polskiej położone są w środku Europy, obejmując część wielkiego niżu europejskiego, ciągnącego się od Pirenejów, wzdłuż Oceanu Atlantyckiego, Morza Północnego i Bałtyckiego,

aż ku granicom Azji. Od wybrzeża Bałtyku ciągnie się ku południowi równina polska, urozmaicona nielicznymi pasmami wzgórz. Takie, najbardziej na północ wysunięte pasmo, to wyżyna Bałtycka, wznosząca się na 300 m. nad poziom morza i tworząca prawie nad samym brzegiem morskim szereg niewysokich pagórków, pokrytych lasami, kryjącymi liczne i malownicze jeziora. Jest to t. zw. „Kaszubska Szwajcaria”, najpiękniejszy zakątek na północy Polski. Wyżyna Bałtycka przechodzi ku południowi w rozległą Nizinę Polską, wzniesioną do 100 m. n. p. m. i obejmującą prawie połowę ziem obecnej Rzeczypospolitej. Nizina ta jest kolebką Polaków, na niej leży przeważna liczba historycznych osiedli polskich z Gnieznem, Poznaniem i Warszawą na czele. Ku południo-zachodowi od Niziny Polskiej wznosi się Wyżyna Małopolska, oddzielona od podnóża Karpat tylko doliną górnej Wisły. Na południowym krańcu Polski ciągną się Góry Karpackie, zajmujące około 1½ proc. powierzchni całej Rzeczypospolitej. Karpaty, a zwłaszcza stanowiące ich część, Tatry, należą do najbardziej malowniczych gór w Europie. Są też przedmiotem zaciekawienia turystów i alpinistów, rokrocznie nawiedzających południowe granice Polski.

Bardziej ku wschodowi od opisanego pasa Polski rozciąga się u podnóża Karpat, Płyta Podolska. Doskonała gleba ozdabia tę część kraju bujną i malowniczą roślinnością. Dalej ku północy ciągnie się Wyżyna Wołyńska, również urodzajna i bogata w roślinność, nizinne i bagniste Polesie i wreszcie wyżyna Litewska, — kraina lasów sosnowych i pięknych rozległych jezior. Tu właśnie położone są największe jeziora w Polsce, Narocz, Dryświaty, Drywiaty i Świr.

Granice naturalne Rzeczypospolitej, stanowią tylko: na północy niewielki pas wybrzeża morskiego, długości zaledwie 70 km., a na południu, na przestrzeni 1200 km., góry Karpackie. Od strony północno wschodniej, od wschodu i od zachodu, Polska naturalnych granic nie posiada. Sztuczne linie granicz-



1. Przekrój przez ziemie zachodniej Polski z południa na północ (wg. mapy O. Sosnowskiego)

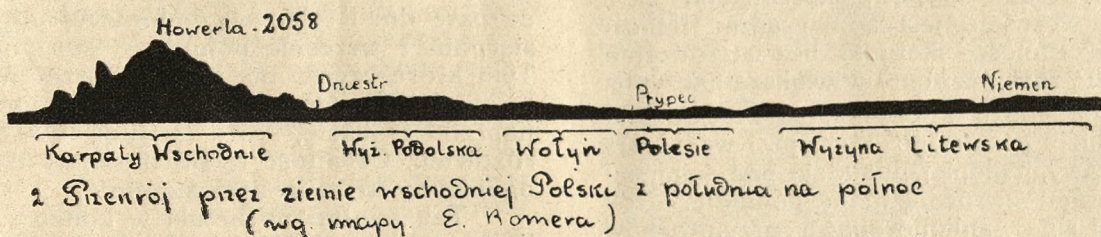


ne dzielą tutaj pokrewne obszary geograficzne, pomiędzy Polaków i ich sąsiadów.

Z pośród rzek, zraszających powierzchnię Polski, największa jest Wisła, zasilana m. in. dopływami: Bugiem, Pilicą, Wieprzem i Sanem. Wisła liczy od źródeł do ujścia 1046 klm. długości i dosięga 2 klm. szerokości koryta.

Oprócz Wisły i jej dopływów biorą na terenie Rzplitej początek: Dniestr, wpadający do morza Czarnego, Prypeć z licznymi dopływami, Niemen i wreszcie Warta, stanowiąca dopływ Odry.

Klimat Rzeczypospolitej Polskiej można scharakteryzować jako przejściowy pomiędzy morskim i lądowym. Średnia temperatura roczna wynosi w Krakowie 8,2° C., w Warszawie 7,2°, Pińsku 6,6°, a w Poznaniu 6,2°. Lipiec ma prawie na całym obszarze Polski równą temperaturę średnią, 18,7°, stycznia zaś najzimniejszy jest w Pińsku, (5°), a najłagodniejszy w Poznaniu (1,5°). Opady atmosferyczne dosięgają średnio wysokości 700 milimetrów rocznie; najwyższe opady bywają na Ślązku Cieszyńskim, 1200 mm., najmniejsze w okolicy ujścia Bugu do Wisły (500 mm.).



Szata roślinna Polski jest dosyć różnolita. Obok okazów flory północnej spotykamy liczne rośliny właściwe strefom południowym. Ogółem, na Ziemiach Polski, spotykamy około 2285 gatunków roślin, z czego 44 drzew, a 182 krzewów.

Najpospolitszymi drzewami polski są: dąb, grab, 10 gatunków wierzb, brzoza, lipa, sosna, świerk, jodła i modrzew. Do rzadkości należy limba i cis, które zachowały się jeszcze dość obficie w Karpatach, a które wyginęły, lub giną w innych krajach Europy.

Lasy Polskie stanowiły niegdyś nieprzebrany skarb zwierzyny. Obecnie zmniejszyła się jej ilość, zmniejszyła się i liczba gatunków. Rachują teraz 84 gatunki zwierząt ssących i 320 gatunków ptaków, przeważnie przelotnych. Ryb posiadamy około 74 gatunków, płazów 17 gatunków i gadów 15 gatunków. Największym z pośród zwierząt ssących Polski był do niedawna żubr, który wyginął podczas wojny światowej.

Rzadkości zoologiczne reprezentują obecnie w Polsce: łos, bóbr i ryś, spotykające się jeszcze w puszczech Polesia.

## UPRAWA POMIDORÓW

(W odpowiedzi Pani H. J. z Lublina).

Jeżeli chcemy mieć wczesną rozsadę, musimy siać pomidory w pierwszych dniach marca, a nawet w drugiej połowie lutego, wysiewając 12 gr. na 3 okna. Po zasianiu uklepać ziemię deseczką, przysypać piaskiem i obficie podlać przez sitko. Po wejściu trzeba zaraz przewietrzać często okna, bo pomidory skłonne są do wybujania, pamiętać jednak jednocześnie należy, że roślina ta wyjątkowo wrażliwa jest na mróz, a więc nie można dopuścić do niej z zewnątrz wiatru mroźnego.

Skoro pierwsze liście, liścieniami zwane, dobrze się wykształcą, a ukazą się pierwsze stałe listki, rozsadzać trzeba siewki do zimnego inspektu po 60 sztuk w jedno okno, sadząc roślinki po same liścienie. Ponieważ pomidory wypuszczają boczne korzonki ze wszystkich kolanek, otrzymamy w ten sposób mocno zakorzenione sadzonki. Po rozsadzeniu trzeba je podlać i w razie jeżeli jest słońce przycieniać.

Po paru dniach, jak się przyjmą, trzeba znów wietrzyć bardzo obficie, gdyż i tak rosną zbyt bujnie. Kiedy zaczną się gniesć i łamać pod szybami, trzeba przyciąć je przy samej ziemi nad pierwszemi dwoma liśćmi, z przyciętych łodyg wyjdzie po dwa silne pędy i tak przygotowane flance wysadza się dopiero do gruntu.

Dobra rozsada pomidorów powinna być krępa, ciemno zielona, nie wybujala, od tego bowiem zależy w głównej mierze udatność hodowli i obfitość plonu. Kto niema inspektów, a pragnie mieć swoją rozsadę, niech w pierwszych dniach marca przygotuje skrzynkę głęboką na 6 cm., szeroką na 15 cm.,

a długą tak, aby w oknie stanęła. Dno skrzynki dziurawimy w kilku miejscach świderkiem, zakładamy te dziurki skorupkami potłuczonej doniczki, sypimy na dno na 2 cm. grubo piasku drobnoziarnistego, na niego nakładamy warstwę ziemi kompostowej z domieszką 1/4 piasku mularskiego, ziemię ugniatamy tak, aby do wierzchu skrzynki został 1 cm. Namoczymy na 24 godzin przedtem w ciepłej wodzie 3 gr. nasienia pomidorów, wysiewamy je w tę skrzyneczkę, przyklepujemy lekko, podlewamy obficie ciepłą wodą i stawiamy na słońcu. Podlewać letnią wodą trzeba stale, jak tylko ziemia wysychać zacznie. Jeśli pogoda jest słoneczna po tygodniu pomidory wejść powinny. Od ukazania się roślinek podlewamy w dalszym ciągu ciepłą wodą skrzynkę, przez dziesięć dni. Po ich upływie, jak tylko roślinki dobrze w palce ująć się dadzą, szykujemy skrzynki takie same, jak pierwsza, tylko głębokie na 16 cm.

Postępuje się z temi skrzynkami tak jak z poprzednią, a po napełnieniu ich piaskiem i ziemią wyjmujemy ostrożnie małe roślinki z płytkiej skrzynki, przycinamy im cokolwiek korzonki, robimy kołeczkiem dziurki co 6, albo 8 centymetrów w kwadrat, wpuszczamy w nie korzonki rozsady, uważając, aby nie podwinąć ich do góry, aż po pierwsze listki i mocno obciskamy. Zasadziwszy tak całą skrzynkę (powinno zmieścić się 40—50 sztuk), podlewamy ją, stawiamy na kilkanaście godzin w cieniu, potem przenosimy w półcień, wreszcie stawiamy w świetle a w końcu na słońcu w oknie i stale podlewamy ciepłą wodą. Przesadzanie siewek pomidorów przypaść powinno na pierwszą połowę kwietnia (z jednej



skrzynki siewek powinniśmy mieć 10 skrzynek flanc) Od zasadzenia ich, aż do połowy maja, muszą stać na oknach i być podlewane w miarę potrzeby wodą coraz chłodniejszą, aż mniej więcej koło 10-go maja dojdziemy do normalnej temperatury. Od 15-go maja zacząwszy, zależnie od ciepłej czy też chłodnej wiosny, można już w grunt przesadzić pomidory, lepiej jednak poczekać, nawet do czerwca, niż zmrozić za wcześnie wysadzone roślinki.

Kto potrzebuje małej ilości flanc, najlepiej zrobi, jeśli je kupi gotowe w którym z większych ogrodów w sąsiedztwie, albo zasiawszy w doniczkach trochę nasienia, skoro nadejdzie pora przesadzania siewek napełni podziurawione skorupki od jaj ziemią kompostową wymieszaną z piaskiem. Takie skorupki zastąpią małe doniczki, ustawia się je w pudełkach podsypanych ziemią, jedna przy drugiej, aby się nie przewracały i dały wygodnie podlewać. Skoro zaczną się ciepłe, słoneczne dni, wynosi się je z pudełkiem na dwór, aby się zahartowały, na noc jednak bezpieczniej wstawiać do pokoju.

Kiedy już rozsada wypełni korzonkami całe skorupki, a za wcześnie jeszcze wysadzać flanki w grunt, trzeba zgnieść skorupki bez uszkodzenia roślinek i wsadzić razem z nimi w większe naczynia.

Pomidory pochodzą z Gwinei, są więc rośliną potrzebującą dużo ciepła do rozwoju i wymagają słonecznej wystawy, najlepiej udają się pod ścianami budynków i murami zwróconymi na południe. Gdy już ciepło ustali się i zniknie obawa przymrozków zabieramy się do sadzenia pomidorów na upatrzone dla nich miejscach, uprawiamy ziemię głęboko widłową łopata, starannie wybieramy korzenie perzu, pokrzyw, łopianu, ostu i powoju. Dokładnie oczyściwszy ziemię ze wszelkich chwastów, sadzimy pomidory w metrowej od siebie odległości w przygotowane na nie dołki głębokie i szerokie na 16 cm., które na dwanaście cm. wypełniamy kompostem, czyli ziemią powstałą ze zgniłego nawozu, lub też ziemią przepojoną gnojówką, wyskrobaną z dna obory, lub stajni po wywiezieniu nawozu. W braku kompostu, lub wyskrobków, trzeba wlać do dołek po garncu gnojówki do każdego, lub w braku teje rozpuścić 12 gr. superfosfatu i 12 gr. soli potasowych w miękkiej wodzie i użyć jak gnojówki. Gdy wszystkie dołki zaprawimy, zasypujemy je do pełna pulchną ziemią ogrodową i trochę przygniatamy, tak aby posadzony pomidor znalazł się w zagłębieniu. Na parę godzin przed wysadzeniem pomidorów, podlewamy je suto w skrzynkach, aby ziemia trzymała się mocno korzeni.

Pomidory sadzimy po pierwsze listki, ziemię przy roślinkach mocno ugniatamy, formując naokoło rodzaj miseczki, którą nakładamy nawozem i przez niego polewamy co parę dni roślinki wodą z sadzawki, lub deszczową.

Po posadzeniu, należy uszczknąć czubki pomidorów, co bardzo wpływa na ich rozgałęzienie. Obok pierwszego rzędu pomidorów można posadzić i drugi o jakieś 60 cm. dalej od pierwszego, dając mu płótek w kratkę z łątek.

W czasie wzrostu pomidorów, trzeba ziemię naokoło nich przynajmniej raz na miesiąc zmotyko-

wać, oczyścić z chwastów i obsypać krzaczkami, co bardzo lubią. Trzeba także parę razy w ciągu lata podać je gnojówką, lub sztucznymi nawozami rozpuszczonymi w wodzie.

Pomidory wskutek uszczknięcia czubków wypuszczają z boków po kilka gałązek. Z tych, wyciąwszy słabsze, zostawimy trzy do pięciu mocniejszych, które przywiążemy rafią do gwoździ w murze lub do drabinek z łątek. Przywiązując gałązki stopniowo, coraz wyżej umieszczamy je tak, aby stały jak najluźniej i aby jedna drugiej nie gąłła. Te parę głównych rozgałęzień pomidorów wydają boczne gałązki, na których zaczynają zjawiać się kwiaty. Jeżeli niektóre gałązki dostaną już pięć listków, a kwiatków nie mają, to wycina się je przy nasadzie, bo tylko bezużytecznie zasłaniają tak bardzo potrzebne innym światło słoneczne. Boczne gałązki, które mają kwiaty, obcinamy także, ale dopiero nad drugim liściem za najwyższym zawiązkiem owocu.

Dobrze jest również w ciągu lata skracać do połowy liście, które ocieniają dojrzewające owoce. Czynność tę trzeba wykonywać stopniowo, ostrożnie, co parę dni i tylko w pochmurną pogodę. W ciągu sierpnia i września pomidory zaczynają dojrzewać. Tym, które często nie zdążą dojrzeć naturalnie, trzeba udzielić pomocy, wycinając w pochmurny dzień naprzód te liście, które cieniuja owoce zaczynające różowieć. Czynność tę powtarzamy co kilka dni, aż ogołocimy krzak z liści zupełnie.

Tak ogołoczone krzaki w końcu września zdążą jeszcze dojrzeć. W przeciwnym razie zerwać je, ułożyć na oknach słonecznych, lub na matach w inspekcie. Zupełnie niedojrzałe twarde i zielone można użyć na pickle.

Pomidory są bardzo lubiane i szeroko stosowane w naszych kuchniach. Używane są na zupy, sosy, przyprawy do jarzyn zamiast octu, na jarzynę, smażone, lub faszerowane, na zakąskę, jako sałatka z cebulą, octem, oliwą i trochę cukru. Niektórzy jadają je surowe z krzaka jak inne owoce. Na zimę gotuje się je w butelkach, porwane w kawałki smaży na gęstą marmeladę, którą nakłada się w słoiki i szczelnie owiázuje pęcherzem. Wysmażywszy bardzo taką marmoladę rozsmarowywa się ją na palec grubo na arkuszach woskowego papieru, obsusza w letnim piecu, kraje na kawałki i układa w duży słój szklany, który owiázawszy szczelnie, przechowywa się w suchym miejscu. Sposób ten, o ile dobrze zrobiony, pomidory w miarę wysmażone i uszzone, jest doskonały.

Najwykwintniejsze pomidory są robione w Węcku i gdyby nie drożyzna słoików jedynie powinien być stosowany, zwłaszcza tam, gdzie jest dobra spiżarnia. Oprócz na kuchnię pomidory również cenione są jako artykuł handlowy. Do wysyłki wybiera się dorodne okazy zaledwie ceglastej barwy, ale bardzo jędrne, dojrzałe zupełnie, do przewozu nie nadają się. Zrywa się, je jak rosa obeschnie, a pakuje w kosze, lub skrzynki grubo wysłane liśćmi po 16 kilo każda. Na nasienie wybiera się najdorodniejsze owoce, zerwane wcześniej, naturalnie dojrzewające, siłę kiełkowania zachowuje nasienie do czterech lat. Woń łodyg pomidorowych odstrasza mrówki i wiele innych szkodliwych owadów. Z...ska.





## AMERYKAŃSKA KSIĄŻKA KUCHARSKA

„Droga do serca mężczyzny“ brzmi tytuł olbrzymiej książki (624 stronicie sporego formatu i drobnego druku), leżącej przedemną. Wciąż słyszymy o tem, że kobieta amerykańska, zupełnie pozbawiona stałej służby, zmuszona spełniać wszystkie czynności gospodarskie sama, a gotowanie jest stanowczo jedną z najcięższych, — gotuje rzeczy łatwe i proste. Po przeczytaniu tej książki, ułożonej na podstawie przepisów wypróbowanych w miastowych szkołach kucharskich, kucharskich szkołach powszechnych, w Milwaukee, szkołach zawodowych dla dziewcząt i przez praktyczne gospodynie, przychodzi się do wręcz przeciwnego wniosku.

Muszę tutaj zwrócić uwagę czytelniczek „Bluszczu“, że gospodyni domu nazywa się w Ameryce „housewife“, co dosłownie znaczy „domowa żona“, wcale nieładnie i wysoce nieuprzejmie, choć bardzo prawdziwie. Przedewszystkiem amerykański sposób odżywiania się zupełnie się różni od europejskiego. Nie znam wcale kuchni tureckiej, w której podobno porządek dań jest zmieniony naodwrot i zaczyna się posiłek od słodczy i przechodząc przez dania mięsne, korzenne i tłuste, kończy na ostrych, słonych przekąskach. Czy tak jest nie wiem, podaję to, co słyszałam, — te dania turecko — tatarskie, które miałam możność wypróbowania na Krymie, były wyborne. Poza Turcją w całej Europie poza potrawami narodowymi, które w większości swej już przeszły do kuchni sąsiadów bliższych i dalszych i za pomocą książek kucharskich międzynarodowych — a jest ich sporo, — coraz dalej się szerzą, — kuchnia jest o tyle podobna, że każdy przeciętny Europejczyk jeść ją może. Wszędzie przeważnie obiad zaczyna się od zupy, a kończy na leguminie, lub deserze, za wyjątkiem może Anglii, gdzie zupy się podaje tylko na obiadach proszonych i przy wielkich uroczystościach, obiad zaś zwykły składa z mięsa, jarzyn i leguminy, przeważnie mącznej w połączeniu z owocami. W lepszych jadłodajniach Europy panuje wszechwładnie kuchnia francuska z małemi ustępstwami w kierunku lokalnych gustów.

Wnosząc z książki kucharskiej, z którą chcę chociaż w słowach kilku zaznajomić czytelniczki „Bluszczu“, kuchnia amerykańska jest niesłychanie skomplikowana, obfituje w nieprzewidziane kombinacje, zużywa duże ilości owoców i jarzyn, co byłoby bardzo zdrowem, gdyby nie dziwnie ostry i korzenny sposób ich przyprawienia i nie ogromna ilość konserwów, pikli i przystawek „relish“ tak ostrych, że podniebienie i żołądek europejczyka niełatwo je zniosą. — Zeszłej zimy będąc na kolacji w Hotelu Angielskim widziałam, jak jakiś pan, mówiący brzydką angielszczyzną, a więc Amerykanin, do podanej mu zwykłej sałaty majonezowej zażądał słoiczka korniszonów, całego flakonu „Cabula“ i karafeczki estragonowego octu, zmieszał to wszystko razem i zjadł bardzo nieestetycznie łyżką. Sądziłam, że to był jakiś amerykański Nowobogacki, który brak wyrobienia smaku zastąpił bogatą fantazją, po przeczytaniu „Drogi do serca mężczyzny“ doszłam do przekonania, że każdy obywatel Stanów Zjednoczonych zrobiłby mniej więcej to samo, lecz dodałby jeszcze kilka plasterków ananasa, parę brzoskwiń przepołowionych, łyżkę cukru, lub syropu, parę pomidorów surowych, lub pół słoika konserwy pomidorowej, dwa lub trzy strączki zielonego, lub czerwonego tureckiego pieprzu, sok z trzech pomarańcz i jednej

cytryny i dopiero by się czuł zadowolony, że je dostаточно i smacznie.

Poza masą sałat owocowych i jarzynowych na ostro i na słodko, charakterystyczną cechą kuchni amerykańskiej jest masa pieczywa domowego, różnych bułeczek zwykłych i kruchych, z makiem i z kminkiem, rogalików i paluszków, które wchodzi w jadłospis każdy jako konieczne jego części składowe. W stosunku do mięsa bardzo dużo ryb świeżych i konserwowanych, dużo raków, homarów, krewetek, ostryg. Mięsa wołowego, baraniny i cielęciny nie-dużo, więcej znacznie wieprzowiny, często już przerobionej na szynki i kielbasy, a nawet wprost konserwowanej w puszkach. Często się trafiają potrawy z wołowiny konserwowanej, wędzonej, lub suszonej nawet. Dużo drobiu, dużo słodkich ciast, tortów i — co i nam by przypadło do smaku lodów, bez których żadne lepsze śniadanie, lub obiad się nie obchodzi. Będę się starała wypróbować niektóre potrawy, i po wypróbowaniu podzielę się rezultatami prób tych z czytelniczkami „Bluszczu“. Czasem wszak można mieć miłą niespodziankę gastronomiczną. Chociaż nie zawsze. Naprzykład co roku kilka razy robię angielski sos „Cumberland“ do zimnych mięs, (przepis jego podałam przed Wielkanocą), mimo pozornie dziwnej kombinacji galarety perczekowej i cebuli siekanej, pomarańczy i musztardy itd. sos jest jeden z najlepszych jaki znam.

Odwrotnie popróbowałam jeden z przysmaków amerykańskich podanych kiedyś w „Bluszczu“ pod nazwą „Katchup“, było to coś tak zabójczego, że po zjedzeniu kawianej łyżeczki na próbę godzin kilka musiałam trzymać zimną wodę w ustach, wciąż ją zmieniając, aby usunąć niezdolne palenie. Trzymałam do niedawna w słoiku, sądząc, że jak musztarda czasem się wywietrzy i złagodnieje, — niedawno popróbowałam i kazałam wyrzucić. Żeby dać czytelniczkom pojęcie o jadłospisach amerykańskich przetłumaczę ich kilka dla przykładu.

### „LUNCHEON“ DRUGIE ŚNIADANIE. (Str. 603.)

#### 1) Pomidory z sardelami.

Szpinak z formy, otoczony jajami w galarecie na plasterkach szynki, sos holenderski.

Bulwa włoska otoczona połówkami brzoskwiń uzupełnionemi galaretą perczekową.

Galareta pomarańczowa, pomarańcze i winogrona w środku. Zimny sos z oliwą. Ciastka z serem.

Lody śmietankowe w kształcie melona z czerwonymi gruszkami i siekaniną z daktyli, fig, orzechów włoskich itd.

(Str. 602.)

#### 2) Zupa przecierana jęczmienna. Grzanki.

Oliwki. Rządki. Kotlety baranie ubrane miętową galaretą na plasterkach pomarańczy.

Suflet pomidorowy, w środku kalafjory, otoczony krokietami smażonemi z kartofli. Sos śmietankowy. Bułeczki domowe. Lody morelowe. Sałata z gruszek.

Ser „Roquefort“ na gorących grzankach z bułki.

Tort daktylowy. Śliwki duszone. Kawa.

(Str. 601.)

#### 3) Sałata owocowa. Orzechy solone. Rządki.

Falszywe ptaki (nasze zrazy zawijane) naokoło ryżu zapiekanego, w środku groszek zielony.

Sos buljonowy, Bułeczki domowe. Pikle słodkie.

Sałata mieszana. Sos majonezowy.



„Sundae” (rodzaj Melby,) truskawkowy lub ananasowy.

Tort czekoladowy, daktyle duszone, kawa.

„HOME DINNERS” (OBIADY DOMOWE.) (Str. 598.)

1) Melon, polany piwem imbirowym i zastudzony.

Cielęcina gotowana. Kartofle smażone i duszone.

Szparagi z sosem holenderskim.

Budyń z grzybów. Kawa.

2) (str. 598.) Przekąska z kurzych wątróbek.

Kura z sosem. Kluseczki zapiekane z zielonym groszkiem. Sałata pomarańczowa.

Ciastka czekoladowe. Kawa.

3) (str. 597.) Na przekąskę pasta sardelowa.

Steak z pieca. Duszone kartofle rumiane.

Kukurydza w kolbach. Koszyczki pomidorowe.

Bułeczki domowe z goździkami.

Melba brzoskwińowa. Kawa.

4) (str. 597.)

Cielęcina pieczona. Placki kartoflane, sos jabłeczny. Sałata fasolowa.

Szarlotka owocowa.

Kiedykolwiek indziej podam jeszcze jadłospisy kolacji na większych przyjęciach, obiadów imienninowych, weselnych, tego co się zabiera na wycieczki, na pikniki, a nawet wskazówki, jak przygotowywać potrawy na tak zwanych „campingach”, — odpoczynkach koczowniczych, które i w Europie zaczynają wchodzić w modę.

Pani Elżbieta.



### JESIOTR PO POLSKU.

Środkowe dzwono jesiotra wagi kilo, lub nieco więcej starannie oczyścić ze skóry i grubych łusek w kształcie narośli, nasolić lekko, pozostawić tak na godzinę. Garść koperku drobno usiekać, utłuc w moździerzu z łyżeczką soli, ostrym nożem robić otwory w jesiotrzynie i wkładać w każdy łyżeczkę masy koperkowej. W nelsonce rozpuścić sporą łyżkę masła, ułożyć na niem jesiotra, zrumienić lekko na wolnym ogniu, gdy z obu stron rumiane, wlać kwarterkę gęstej śmietany, kilka ziarn pieprzu, ziela i jeden listek, przykryć pokrywą i potrząsając dusić jeszcze na bardzo wolnym ogniu około pół godziny. Oddzielnie ugotować kilo młodych kartofli, polać je topionym masłem, posypać zielonym koperkiem i podać do jesiotrzyny. W braku młodych kartofli użyć starych, wykrawając je żelazną łyżeczką w kulki.

### JESIOTR PO ROSYJSKU.

Ładne dzwono jesiotra, oczyszczone z grubych łusek i skóry, nasolić i pozostawić godzinę. Ugotować smak na wodzie, do której włożyć cebulę, marchew,

pietruszkę, porę, kawał selera, pieprzu, ziela, listek, dwa goździki. Smakiem tym zalać ułożonego w nelsonce jesiotra, tylko tyle aby objęło. Zagotować raz na gwałtownym ogniu, odstawić na bok i gotować wolno około dwudziestu minut. Zrumienić łyżkę dużą masła, wsypać łyżkę mąki, rozprrowadzić rosół od ryby, włożyć w ten sos włoszczyznę z rosółu, zgrabnie pokrajaną, kilkanaście śliwek, dużą łyżkę kaparów, kilka plasterów cytryny bez skórki, dwie łyżki pomidorowej marmelady, lub dwa pomidory uduszone w maśle, na koniec noża sarepskiej musztardy w proszku, (lub angielskiej „Coleman'a”), łyżeczkę cukru, łyżkę dobrego octu, zagotować wszystko razem. Jesiotra pokrajać w ładne plastry, ułożyć na półmisku, obłożyć kartoflami z wody i pokryć sosem, który powinien być tak gęsty od dodatków, jak jarzyna. Gdyby kolor sosu nie był ładny, można dodać więcej pomidorów, lub też zabarwić go karmelem.

### KWAS TRUSKAWKOWY.

Na kwas można użyć wszelkie truskawki drobne, krzywe, niedorośnięte, byleby tylko były dojrzałe i nie zepsute. Kilo truskawek oczyszczonych z korzonków zalać pięciu litrami wody, zagotować, zlać do worka flanelowego, lub płóciennego, używanego do filtrowania soków, odcedzić, (nie wyciskając zbyt mocno, aby płyn nie był mętny), 60 deka cukru rozpuścić w dwóch szklankach wody, zagotować raz, wsypać łyżeczkę kwasu cytrynowego, zastudzić. Zmieszać oba płyny razem. W paru łyżkach zimnego płynu rozrobić 1 deka najświeższych drożdży, zmieszać z resztą płynu. Pozlewać do butelek, (z tej ilości będzie dwanaście zwykłych butelek 0,6 litrowych, jakich się do win używa). Można dla wzbudzenia szybszej fermentacji na dno każdej butelki wrzucić po trzy rodzenki sułtańskie. Butelki dobrze zakorkować, zawiązać sznurkiem, lub drutem, ułożyć w niezbyt ciepłym pokoju na dwadzieścia cztery godziny, poczem wynieść do lodowni, lub chłodnej piwnicy. Kto chce mieć ten wyborny, musujący napój słodszy, może zamiast 60 deka dodać 80 deka cukru. Po dwóch dniach można już używać!

### KWAS Z CHLEBA.

Skórki z czarnego, żytniego, razowego chleba, lub czerstwy chleb razowy ususzony do zrumienienia w piecu, zalać gorącą gotowaną wodą, aby objęło, wsypać garść suchej mięty, wymieszać i pozostawić na dwie doby. Zcedzić z gąszczu, dać się ustać, zlać ostrożnie płyn czysty. Na dziesięć litrów tego płynu włożyć funt i ćwierć, (pół kilo) cukru, rozpuszczonego w gorącej wodzie i dwa deka drożdży. Do suchych, czystych butelek wkładać po trzy rodzenki, nalewać kwasu niezbyt pełno, gdyż kwas ten mocno musujący nieraz butelki rozrywa, zakorkować mocno, zawiązać mocnym szpagatem, lub odrutować korki. Trzymać leżące w ciepłym pokoju noc jedną, poczem wynieść na lodownię, lub do zimnej piwnicy. Trzymać butelki leżące. Po dwóch dniach zdatny już do picia. Z tej proporcji wyjdzie 15—16 zwykłych winnych butelek kwasu.

Pani Elżbieta

„MÓJ KREM” i „MÓJ PUDER” HIGJENICZNY WE WSZYSTKICH ODCIENIACH

DR. MED. J. ŚWITALSKA.

SKŁAD GŁÓWNY TOW. AKC. KARPIŃSKI — ELEKTORALNA 35.



## DRUGI KONKURS „BLUSZCZU“

W trzech kolejnych numerach podamy po trzy zadania jednego typu. Termin nadsyłania rozwiązań 2 tygodnie. Za rozwiązanie każdego zadania liczyć będziemy uczestniczkom po 5 punktów, za rozwiązanie wszystkich zadań z jednego numeru dodatkowo 10 punktów. Dla uczestniczek konkursu Redakcja przeznaczona 3 nagrody: 1) wyżymaczka najnowszego systemu, 2) serwis do podawania owoców, 3) kwartalna prenumerata „Bluszczu“.

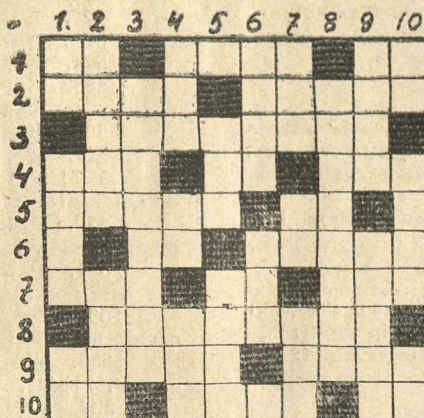
### KRZYŻÓWKI

Nr. 4

#### ZNACZENIE WYRAZÓW

poziome

1—litera grecka wspak (2), znakomity anatom-  
okulista lekarz nadworny Józefa II wspak (4),  
litera fonetycznie (2). 2—łyka wino (4), część  
wozu w języku francuskim (4). 3—stan bra-  
zylijski (8). 4—prezent (3), skała gamy chro-  
matycznej (2), głos zwierząt (3). 5—rozkaz,  
dany psu (4), zamek (2). 6—skała gamy chro-  
matycznej (2), miasto i port w Panamieś (5).  
7—wioska Kirgizka (3), litera fonet. (2), mia-  
sto we Francji, w depart. vanduse (3). 8—imię  
żeńskie (8). 9—owoc (5), choroba (4). 10—przy-  
imek wspak (2), miasto i fort w Armenji (4),  
zamek wspak (2).



#### ZNACZENIE WYRAZÓW

pionowe

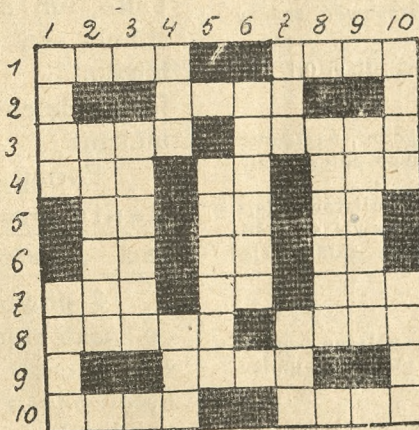
1—rzeka włoska wspak (2), figura w kartach (4),  
litera fonetycz. (2). 2—płaskowzgórze w Azji  
wspak (5), rodzaj zarządzenia (4). 3—miasto  
w wojew. Krakowskim (8). 4—trzykrotnie w  
języku starożytnym (3), symbol chemiczny  
wspak (2), okres czasu (3). 5—rodzaj głosu (3),  
imię królowej polskiej (4). 6—imię żeńskie (4),  
komenda wojskowa (3). 7—rzeka na Ukrainie  
(3), zamek (2), wyspa u brzegów Grecji (3)  
8—stan Ameryki północnej (8). 9—miasto w  
Anglii wspak (4), mgły (5). 10—rzeka w Kur-  
landji (2), filozof niemiecki (4), zamek  
wspak (2).

Nr. 5

#### ZNACZENIE WYRAZÓW

poziome

1—miasto w Armenji (4), przeprawa przez  
rzekę (4). 2—skrzynia (4). 3—państwo w staro-  
żytności (4), państwo w starożytności (5). 4—  
rzeka w Rosji (3), zamek (2), generał polski  
wspak (3). 5—jednostka w fizyce (2), zamek (2),  
jedno z imion Buddy (2). 6—spójnik (2), spój-  
nik (2), skała gamy chromatycznej wspak (2).  
7—narodowość (3), litera fonet. (2), przedrostek  
używany w przyrodzie, a służący do ozna-  
czania jednej z gałęzi tej nauki (3). 8—miasto  
w Mezopotamji nad rzeką Tygrysem (5), imię  
chłopskie (4). 9—okręt (4). 10—napój (4),  
napój (4).



#### ZNACZENIE WYRAZÓW

pionowe

1—kolor (4), pojęcie w fizyce (4). 2—miasto  
w Galicji słynne z dobrego piwa (6). 3—go-  
tówka (6) 4—miasto w Belgji, miejscowość  
kuracyjna (3), skorupiak (3). 5—imię staro-  
nieemieckie (6). 6—kraj (6). 7—posunięcie w sza-  
chach (3), bawół azjatycki (3). 8—napuszenie  
w mowie (6). 9—twórca nowych wyrazów (6)  
10—inaczej system (4), miejsce zadrzewione  
na pustyni (4).

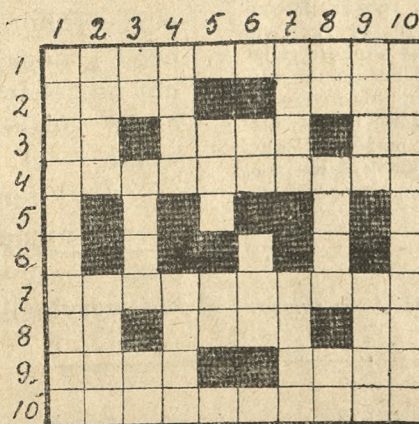
Nr. 6

#### ZNACZENIE WYRAZÓW

poziome:

1—Kraj w Europie (10). 2—Postać mitologicz-  
na (4), część serwisu stołowego (4). 3—Litera  
fonet. (2), rzeka w Finlandji (4), litera fonet  
(2). 4—Mieszkanie jednego z wielkich miast (10)

7—Filozof i lekarz szwajcar-  
ski z końca XVIII w. (10). 8—Zamek wspak  
(2), imię żeńskie (4), spójnik wspak (2). 9—  
Bóg grecki (4), króluj! (4). 10—Rodzaj nauczy-  
ciela (10).



#### ZNACZENIE WYRAZÓW

pionowe:

1—in. wędrowcy (10) 2—twór w domu (4)  
imię rosyjskie (4). 3—Bóg egipski (2), zakład  
przemysłowy wspak (4), symbol chemiczny  
wspak (2) 4—Praca (4), pozycja w walce fran-  
cuskiej (4). 5—Rzeka we Francji i w Belgji  
(3), litera fonet. (2). 6—Litera fonetycz. (2),  
jednostka w fizyce (3). 7—Miasto w Galilei  
wspak (4) in. sklepik wspak (4). 8—Miasto  
w Chinach (2), miasto i miejsce bitwy w Af-  
ryce (4), zamek (2). 9—Spójnik (4), bez ubra-  
nia (4). 10—Imię męskie (10).

UWAGA: liczby w nawiasach oznaczają ilość liter, z jakich się dany wyraz składa.



## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

*Pani K. S. z Sanoka.*

Wypełnioną skórę na krzesłach wycierać miękkim gałgankiem zwilżonym terpentyną lub niebardzo mocnym octem. Po wyschnięciu wytrzeć miękką szmatką, maczaną w rozbitym, aż do pienia białku. Skórę zmatowaną wycierać do suchości oliwą zmieszaną do połowy z octem, a odzyskuje pierwotną świeżość.

Portjery płócienne, haftowane kordonkiem sparzonym octem z solą dadzą się uprać w domu jaknajlepiej w letnim, rozpuszczonym w ukropie mydle „Lux”, które po rozebraniu ciepłą wodą i ostudzeniu doskonale służy do tego użytku.

*Pani H. S. Wodzisław.*

Crêpe de chine maluje się farbami prof. Buszka, dostanie je Pani w sklepie Przemysł. Ludowego Tamka 1, lub w firmie Juljan Burhoff Nowy Świat 47 w Warszawie. Łalki z materiału modne dostanie Pani w sklepie Koła Polek, Marszałkowska 84 w Warszawie. Przybory do robót jak jedwabie, wełny, bawełny w Warszawie w firmie Wcgenko, Krucza 24.

*Wielkopolance.*

Nie sądzę, żeby informacje zebrane w Warszawie o szkole w Lacken mogły być dostatecznie dokładne i wyczerpujące. Najlepiej będzie napisać wprost do szkoły, a oni przyślą prospekt i udziela wszelkich objaśnień. Mogłaby także Sz. Pani zwrócić się do poselstwa Belgijskiego, Warszawa, Aleje Róż Nr. 2.

*Pani M. P. z Grabu.*

Adres Tow. Eugenicznego w Warszawie: Żórawia 28, tel.: 89-99. Warunki przyjęcia na członka po wypełnieniu deklaracji poręczenie dwóch członków albo lekarzy. Składka roczna 12 zł. O bliższe wskazówki niech się Sz. Pani zwróci do kancelarii Tow.: Żórawia 28.

### Z DZIEDZINY KOŚMETYKI

*Czytelniczce z Czarnowa.*

Na jęczmień i zaczerwienienie powiek stosować należy lekarstwo, na które receptę załączam:

Ophtalmol albo Hydrarg praecip. flavi 0.1  
Lanolini 10,0

Ds. zewnętrzne. Stosować lekarstwo 6 tygodni, następnie tylko w razie potrzeby. Gdyby nie było wyraźnego polepszenia konieczne jest udanie się do okulisty.

W Warszawie jest bardzo dużo wybitnych okulistów. Najbliżej ulicy Kruczej mieszka Dr. Gałęzowski ul. Żórawia 4. Jeśli Pani przyjedzie do mnie, to w przeciagu 2 godzin załatwi się ordynacja moja i Dr. Gałęzowskiego.

*Krakowiance.*

Na łamach „Bluszcza” odpowiedzi są bezpłatne, zgóry zaznaczam, że z powodu nawału materiału, nie mogą być umieszczane bardzo szybko.

*Z. M. N.*

Odsyłam do odpowiedzi „Wdzięcznej”.

*Nauczyciele.*

Na wydelikacenie i wybielenie skóry na rękach proszę używać Mitynę Karpińskiego, naprzemian z kremem ogórkowym. Przy pielęgnacji paznogi należy ścinać skóreczkę naokoło tylko w bardzo nieznacznym stopniu. Natomiast codzień po umyciu i nasmarowaniu tłuszczem odsuwać skórę, by zapobiec wrastaniu. Swędzenie skóry na twarzy bardzo jest trudno leczyć, nie widząc chorej. Nie można przewidzieć jakie tło może być tego swędzenia powodem. W każdym razie nie myć wodą tylko wycierać oliwą i pudrować na dzień Moim pudrem, na noc natomiast używać lekarstwa, którego przepis podaję:

Zinci oxyd. 40,0  
Ol. olivar op. 60,0

*Dr. J. Świtalska.*

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr 23

509. Suknia z płócienka electric, kołnierzyk i mankiety białe.
510. Kostjum angielski z granatowego kasha.
511. Kostjum z plisowaną spódniczką z kasha koloru bois de rose.
512. Suknia z crêpe marocain, dół układany w kontrafałdy.
513. Kapelusik sportowy.
514. Suknia z crêpe marocain, krawat z barwnej wstążeczki.
515. Suknia z kreponu lila, spódniczka układana z plis.
516. Suknia z popeliny koralowej, kamizelka biała.
517. Suknia biała, przybrana haftem.
518. Ubranko płócienne dla chłopczyka sześciolatniego.
519. Sukienka płócienna haftowana dla dziewczynki dwunastoletniej.
520. Suknia z kasha piaskowego, przybrana haftem i guziczkami
521. Suknia z lekkiej wełny, mogąca zastąpić kostjum.
522. Kostjum granatowy dla młodej pani.
523. Suknia z zefiru w kratę i gładkiego.
524. Kapelusik dla dziewczynki przybrany aplikacją.
525. Kapelusik dla dziewczynki ponsowy z czarnym, rondko naszywane wstążeczką nadmarszczaną
526. Kapelusik dla dziewczynki przybrany gałązką owoców.
- 527.-528. Modne fasony kombinacji.
529. Paltocik z sukienka brązowego dla dziewczynki dziesięcioletniej.
530. Paltocik z sukienka piaskowego dla dziewczynki pięcioletniej.
531. Paltocik z lekkiego kasha, objęty ciemniejszą plisą dla dziewczynki ośmioletniej.
532. Paltocik z sukienka w dwóch kolorach dla dziewczynki siedmioletniej.
533. Wzór na makatkę do dziecinnego pokoju, aplikacja w. nat. 71x42.
534. Wzór na poduszkę, lub makatkę, haft kolorowy.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza” w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza” nie wysyłamy.





MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALIDZ



**DENTOLIN**

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW  
BEZ DODATKU MYDŁA

TOWARZ. **Fr. KARDPIŃSKI** W WARSZAWIE



NAJLEPSZE



CHCESZ MIEĆ

**DORODNE OWOCE,**  
RÓŻE BEZ PLEŚNI?

Stosuj do zraszania, zamiast cieczy bordoskiej

**ARBOSAN**

Zawsze gotowy do użytku!

Sprzedaż w składach nasion lub mat aptecznych

Hurtowo: Wytwórnia preparatów chemicznych  
Stan. SCHÖNFELD i inż. chem. E. TYBQROWSKI  
Warszawa, Marszałkowska 53, tel. 136-66.

POSIADAMY NA SKŁADZIE

Conrad. Fantazja Almayera . . . . .	zł. 2.50
„ Smuga cienia . . . . .	„ 1.95
„ Sześć opowieści . . . . .	„ 1.95
Dickens. Opowieść wigilijna . . . . .	„ —.95
Dumas. Dama Kameljowa . . . . .	„ —.95
„ Trzej muszkietierowie . . . . .	„ 2.85
Dygasiński. Gody życia . . . . .	„ 2.95
Farnol. Na szerokiej drodze . . . . .	„ 1.95
Gallef. Przygody C. de Bergerac . . . . .	„ 1.90
Gomulicki. Siodme amen . . . . .	„ —.95
Grubiński. Nowele . . . . .	„ —.95
Jokaj. Atlantyda . . . . .	„ —.95
Junosza. Na bruku . . . . .	„ —.95
Kraszewski. Ostatni z Siekierzyńskich . . . . .	„ —.95
Leroux. Upiór w operze . . . . .	„ 1.90
Ligocki. Powrót Beatryczy . . . . .	„ —.95
Lodon. Martin Eden . . . . .	„ 3.80
„ Przygoda . . . . .	„ 1.90
„ Prawo białego człowieka . . . . .	„ —.95
„ Wyga . . . . .	„ —.95
Sieroszewski. Ol soni kisań . . . . .	„ —.95
Wierzyński. Pamiętnik miłości . . . . .	„ 6.—

**KSIĄŻKA**

JEST  
NAJLEPSZYM I NAJ-  
POŻYTECZNIEJSZYM  
UPRZYJEMNIENIEM  
WYWCZASÓW LETNICH

SZ. NASZE PRENUME-  
RATORKI ZECHCĄ SIĘ  
ZWRACAĆ

DO  
NASZEGO DZIAŁU  
KSIĘGARSKIEGO,

KTÓRY KAŻDĄ KSIĄŻKĘ DO-  
STARCZY ODWROTNĄ POCZ-  
TĄ NA WARUNKACH ZNA-  
NYCH Z POPRZEDNICH  
OGŁOSZEŃ

KONTO 3.700 KONTO  
P. K. O. P. K. O.

OSTATNIE NOWOŚCI

Aimard. Gorączka złota . . . . .	„ —.95
Antoniewicz. Z dziedziny organizacji nauki . . . . .	„ 6.—
Balzac. Farragus . . . . .	„ 5.—
Bettauer. Zatracona ulica . . . . .	„ 3.60
Cieszkowski. Krzywdy dozwolone . . . . .	„ 1.60
Czekalski. Najukochańsze miasto . . . . .	„ 3.—
Daudet. Mały . . . . .	„ 1.90
Gjellerup. Gdym po raz pierwszy ujrzał ją . . . . .	„ 7.—
Hagard. Święty kwiat . . . . .	„ 1.90
Hichens. Po wyroku . . . . .	„ 4.40
Hugo. Dzwonnik z Notre-Dame . . . . .	„ 3.90
Karczewski. Brzegiem Bałtyku . . . . .	„ 4.50
Kotarbiński. Ze świata uludy . . . . .	„ 7.50
Krzyżanowska. Magowie . . . . .	„ 1.90
London. Biały kiel . . . . .	„ 1.90
Szpyrkówna. Słoneczny domek . . . . .	„ —.85
Tatarówna. O miłości mistrza Twar- dowskiego . . . . .	„ —.80



Matki dbające o higienę dzieci  
używają  
**MYDŁO HIGJENICZNE**  
i  
**PUDRY „DLA DZIECI”**

Wyrobu Laboratorium Apteki  
**M. MALINOWSKIEGO**  
Warszawa, Nowy Świat 31.

177



175

# BEZPŁATNA

Wszystkie próby (na prowincję)  
ostatnich nowości  
LETNICH

**BRACIA JABŁKOWSCY**

WARSZAWA, BRACKA 25.

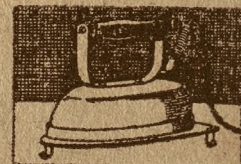
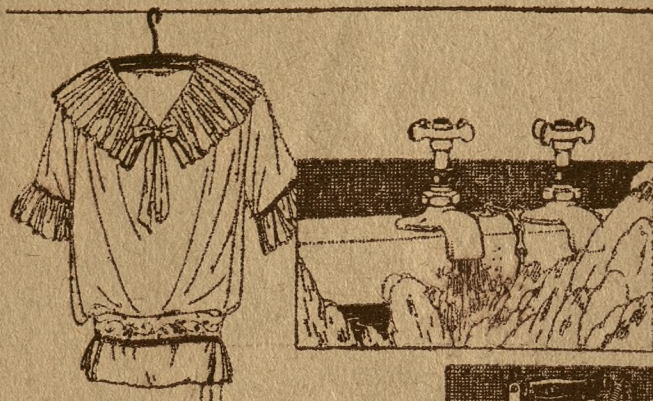
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDM. (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TEL. 239-40.  
KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”  
z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie—57 zł. 60 gr.,      kwartalnie 14 zł. 40 gr.  
Miesięcznie—4.80 gr.      Zagranicą — 8 zł.  
Zmiana adresu 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica  $\frac{1}{2}$  — 450 zł.,  $\frac{1}{2}$  str. — 260 zł.,  
 $\frac{1}{4}$  str. — 150 zł.,  $\frac{1}{8}$  str. — 80 zł.,  $\frac{1}{16}$  str. — 45 zł.  
 $\frac{1}{32}$  str. — 30 zł.      ; Za tekstem o 50% drożej.  
Wkładki reklamowe i reklamy opisowe—według umowy.



*Jedwabne  
tkaniny nie  
znoszą gorąca,  
należy zatem  
uniknąć gorącej wody,  
gorących żelazek i słońca*

Lux umożliwia częste noszenie jedwabi, gdyż pranie nie niszczy ich. Lux jest specjalnie preparowany do prania jedwabi i wszelkich delikatnych tkanin. Cienkie, przejrzyste płatki Lux'u dają się ubić na gęste mydliny, które łagodnie rozpuszczają brud.

### Jak należy prać jedwabie.

**Pranie:** Ubić Lux na pianę w gorącej wodzie i dodać zimnej tak, aby otrzymać letnią pianę. Zanurzyć przedmiot przeznaczony do prania i starannie wygnatać w gęstych mydlinach. Nie trzeć! Wypłókać starannie w letniej wodzie. Nie wyżywać ani wykrczać!

**Suszenie:** Nigdy nie należy suszyć jedwabi blisko ognia lub na słońcu. Zawinąć je w czysty ręcznik i pozostawić, aż prawie wyschną.

**Prasowanie:** Prasować ciepłem — nie gorącym! — żelazkiem. Gorące żelazko zażółca jedwab i czyni go sztywnym, przyczem rozszpecza delikatne włókienka. Między jedwab a żelazko należy położyć kawałek białego płótna.

Uprasa się o nadesłanie poniższego kuponu, poczem nadeślą bezpłatną próbkę oraz ilustrowaną broszurkę o sposobie prania.



**KUPONI!** Do p. REIDA, Skrzynka pocztowa 479, Pocztę Główną, Warszawa. Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres .....

Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy .....

Kupon ważny aż do odwołania.

„Bluszcz” Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

Przedstawiciel na Polskę firmy Lever Brothers Limited (Anglija) L. Reid, Warszawa, Moniuszki 11. Tel. 204-87, 186-00.

Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i mydlarniach.